

Karol May

Taskinia z królewskim skarbem



Leśna
Różyczka

Tom
3

Część I
Córka Granda





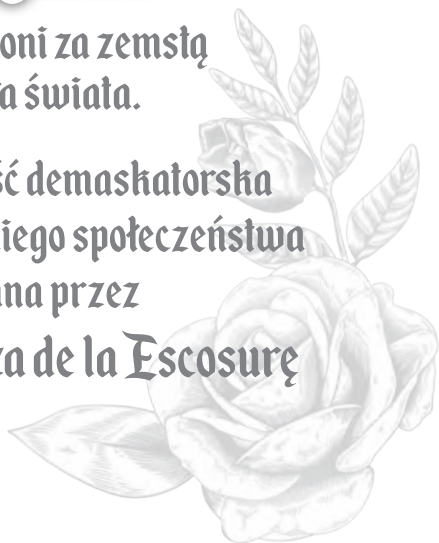
Doktor Carlos Sternau jako „Matava-se”, czyli „Księżę Skal”

KAROL MAY

Łeśna Różyczka

czyli w pogoni za zemstą
dookoła świata.

Wielka powieść demaskatorska
o tajnikach ludzkiego społeczeństwa
napisana przez
Ramona Diaza de la Escosurę



JASKINIA
Z KRÓLEWSKIM
SKARBEM

Karol May

Taskinia z królewskim skarbem



Przełożyła Iwona Kapela

Leśna
Różyczka

Tom
3

Część I
Córka Granda



Sto dwudzięta piąta
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ

Trzeci tom kolekcji
„Leśna Różyczka”

Karol May

Tytuł oryginału niemieckiego: *Waldröschchen oder Die Rächerjagd rund um die Erde*

© Copyright for the Polish translation by Iwona Kapela, 2022

Przekład fragmentów poezji © Copyright for the Polish translation by Piotr Płachta, 2023

57 ilustracji, w tym 20 kolorowych kart tablicowych anonimowego twórcy zaczerpnięte z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. Münchmeyer, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.)

podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Elżbieta Rogucka

Przypisy: Iwona Kapela, Elżbieta Rogucka, Andrzej Zydorczak

Korekta: Piotr Płachta, Andrzej Zydorczak

Koncepcja graficzna, projekt i konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2023

ISBN 978-83-66980-01-3 (całość)

ISBN 978-83-66980-92-1 (tom trzeci)



Wydawnictwo JAMAKASZ
www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com
tel.: 32 340 21 42, 531 094 758
Ruda Śląska 2023

ROZDZIAŁ JEDENASTY

JASKINIA Z KRÓLEWSKIM SKARBEM

*Woda szumi, fale ryczą,
żywiół z więzów uwolniony.
Serce lękiem się napelni,
Żadnym słowem nie objętym.
Jednak wody mroczny gniew,
Który falę zimną w złości miota,
Nie tak straszny, nie tak zły,
Jak tej zemsty dzika powódź!*

*Ogień bucha, płomień skrzy,
Ciepło chmury rozszarpuje,
Tak, iż sam odważny drży,
Który trwogi innej nie zna.
Jednak ognia gniew gorący,
Który płomień ciska bez litości,
Nie tak straszny, nie tak zły,
Jak tej zemsty dziki żar!*

Nieprzerwany i tak cudownie powiązany bieg zdarzeń skłania miłego Czytelnika, by ponad Oceanem Atlantyckim rzucił jedno spojrzenie w stronę tutejszego, środkowoamerykańskiego kraju, który w Rodrigandzie wymieniany był tak wiele razy, ponieważ tu, na drugiej półkuli, leżały znaczne posiadłości rodu Rodriganda de Sevilla.

Nie jest niezbędnym czynienie nudnych, geograficznych uwag na temat Meksyku; jednak tak jak człowiek w ogóle zależy od ziemi, na której żyje, tak też charakter prawdziwego Meksykanina jest całkowicie zgodny z naturą jego własnego kraju. Ziemia tej krainy jest w większości wulkaniczna, a więc również w trzewiach mieszkańców tli się ogień, który często potężnie płonie i w pełni ich pochłania. Na wybrzeżach rządzi śmiertelna gorączka, tak więc również stosunki polityczne tego kraju są chorobliwe i wysoce niestabilne; całe życie i postępowanie tego narodu jest wysoce dziwne i zmienne, a w jeden tydzień można przeżyć tam więcej przygód, niż w naszych stabilnych warunkach przez dziesięć lat.

Granicę kraju aż do Teksasu, który należy do Stanów Zjednoczonych, tworzy Rio Grande del Norte, jak również Rio Bravo del Norte, do których wpadają rzeki Conchos, Salados, Sabinas i San Juan. Pomędzy tymi rzekami a Kordylierą¹ Coahuila², leży kilka porzrzucanych posiadłości, które należą do hrabiego Ferdinando de Rodriganda. Ten, jak już się dowiedzieliśmy, był bratem hrabiego Emanuela. Przebywał wyłącznie w swoich meksykańskich posiadłościach i polecił sprowadzić syna swojego brata, młodego hrabiego Alfonza, aby przekazać mu swój majątek.

Jakieś dwa lata przed rozpoczęciem nieszczęśliwych wydarzeń w Rodrigandzie, w dół rzeki Rio Grande płynęło powoli lekkie canoe³. Zbudowane ono było z długich kawałków

¹ *Kordyliera* – łańcuch, bądź masyw górski, wypiętrzony w obrębie geosynkliny (podłużne zagłębienie w skorupie ziemskiej, gromadzące osady) na skutek ruchów fałdujących, podczas których osady były ściskane i deformowane, a następnie wydzwignięte do góry.

² *Coahuila* – u. K. Maya: Cohahuila, część łańcucha Sierra Madre Wschodnia, biegnącego przez stan Coahuila.

³ *Canoe* (pol. kanu) – tradycyjna łódź wiosłowa (czasem żagłowa) Indian północnoamerykańskich, używana na wschód od Gór Skalistych, a zwłaszcza

kory drzewnej, połączonych ze sobą smołą i mchem, a unosiło dwóch mężczyzn, należących do różnych ras. Jeden z nich poruszał sterem, drugi zaś siedział beztrzesko na dziobie, zajęty przerabianiem papieru, prochu i kul na naboje do swojej ciężkiej dwulufowej rusznicy⁴.

Ten z dwójki ludzi, który trzymał ster, miał ostre, śmiałe rysy twarzy i przenikliwe oczy Indianina, ale i bez tego można było po jego ubiorze natychmiast rozpoznać, że należy do rasy amerykańskiej. Miał na sobie bluzę myśliwską ze skóry dzikiego zwierzęcia, o fantazyjnie postrzępionych szwach, parę leggínów⁵, których boczne szwy ozdobione były włosami z głów pokonanych wrogów i mokasyny⁶, zaopatrzone w podwójne podeszwy. U jego nagiej szyi wisiał sznur z zębów szarego niedźwiedzia⁷, a jego włosy na głowie splecione były w wysoki czub, z którego sterczały trzy orle pióra, co było pewną oznaką, iż był on wodzem. Obok niego, w canoe, leżała pięknie wygarbowana

w regionie Wielkich Jezior; pierwotnie były to dłubanki, czyli wydrążone i obrobione pnie drzew; w czasach historycznych pojawiły się canoe kryte korą lub skórą zwierzęcymi, których spoiny uszczelniano żywicami lub tłuszczami zwierzęcymi; kryte korą brzożową canoe były lekkie i tym samym łatwe do przenoszenia pomiędzy ciekami wodnymi; miały małe zanurzenie, a więc mogły poruszać się nawet wzdłuż niewielkich strumieni.

⁴ *Rusznica* – jeden z pierwszych typów ręcznej długiej broni palnej, początkowo z zamkiem lontowym, później kolowym.

⁵ *Legginy* (ang. *Leggins*) – skórzane lub płócienne spodnie albo nogawice, noszone często przez Indian.

⁶ *Mokasyny* – rodzaj tradycyjnego obuwia Indian; słowo „mokasyn” pochodzi od algonkińskiego słowa oznaczającego „but” lub „obuwie”, a zapisywanego rozmaicie (*Mockasin*, *Mawhcasum*, *Mocussinass*, *Mockussinass*); obuwie wykonane z wyprawionej skóry jelenia, łosia, jelenia wapiti lub bizona amerykańskiego; używane głównie przez Indian z Równin i południowego zachodu Ameryki Płn.

⁷ *Szary niedźwiedź* – (grizzly, grizzly, *Ursus arctos horribilis*) – podgatunek niedźwiedzia brunatnego, drapieżnego ssaka z rodziny niedźwiedziowatych; zamieszkuje Amerykę Północną w jej zachodniej części, głównie Góry Skaliste; długość ciała dochodzi do ponad 3 m, masa do 700 kg, ubarwienie sierści brązowe z szarym lub srebrzystym nalotem.

skóra bizona, która w podróży służyła mu za płaszcz. Za pasem miał zatknięty błyszczący tomahawk⁸, dwustronny nóż do skalpowania oraz woreczki na proch i kule. Na skórze bizona leżała długa dwulufowa rusznica, której kolba obita była srebrnymi gwoździami, a na kolbie tej dało się zauważyć wiele wyciętych karbów, oznaczających liczbę wrogów, których już zabił. Na sznurze z zębów niedźwiedzia umocowany był kalumet⁹, a oprócz tego dało się zauważyć wystające z kieszeni jego myśliwskiej bluzy rękojeści dwóch rewolwerów. Obie sztuki broni, tak rzadkiej wśród Indian, dowodziły wyraźnie, że wszedł on już w bliski kontakt z cywilizacją.

Ze sterem trzymany w prawej dłoni, zdawał się patrzeć na swojego towarzysza i na nic innego nie zwracał uwagi, ale bystry obserwator zauważyłby, że jednak spod głęboko przymkniętych powiek, bardzo pilnie obserwuje brzeg rzeki, owym osobliwym, maskowanym spojrzeniem, charakterystycznym dla myśliwca, mogącego w każdej chwili spodziewać się ataku na swoje życie.

Drugi mężczyzna, który siedział na przodzie, należał do rasy białej. Był wysoki i wprawdzie szczupły, ale jednak nadzwyczaj silnie zbudowany i nosił pełną brodę w kolorze jasnego blondu, w której niezwykle dobrze było mu do twarzy. On również miał skórzane spodnie, wpuszczone w wysoko naciągnięte cholewy ciężkich butów. Niebieska kamizelka oraz taka sama myśliwska kurtka okrywały górną część jego ciała; szyja była bez ozdób i odkryta, a na głowie miał jeden z tych filcowych kapeluszy

⁸ *Tomahawk* – rodzaj siekierki bojowej z drobnym obuchem i długim drzewcem; najczęściej obosieczny, czasami jedna strona była ostrzona w szpic; używany przez Indian północnoamerykańskich jako broń obuchowo-sieczna lub broń miotana.

⁹ *Kalumet* (fajka pokoju, z fr. „wydrążona trzcina”, znana także jako święta fajka) – ozdobna obrzędowa fajka części plemion północnoamerykańskich Indian, palona podczas niektórych ceremonii religijnych, uroczystości społecznych i szczególnie ważnych spotkań towarzyskich, a także w trakcie indywidualnej modlitwy.

z szerokim rondem, jakie stale można ujrzeć na Dalekim Zachodzie¹⁰. Ubrania utraciły już jednak swój kolor i kształt.

Obaj mężczyźni musieli być w tym samym wieku, czyli mogli mieć po dwadzieścia osiem lat i obaj, zamiast ostróg, nosili na piętach ostre kolce - pewny znak, że jechali konno, nim zbudowali canoe, by móc nim popłynąć w dół Rio Grande.

Podczas, gdy byli tak unoszeni w dół wodami rzeki, usłyszeli nagle rzenie konia. Efekt tego dźwięku był błyskawiczny, ponieważ jeszcze całkiem nie wybrzmiał, gdy obaj mężczyźni leżeli już na dnies canoe tak, iż z zewnątrz nie mogli być dostrzeżeni.

– *Tkli* – koń! – szepnął Indianin w języku Apaczów.

– Stoi tam dalej, w dole – zauważył biały.

– Zwiertzył nas. Kim może być jeździec?

– Ani Indianin, ani też wprawny, biały myśliwiec – powiedział biały.

– Dlaczego?

– Doświadczony człowiek nie pozwala swojemu koniowi tak głośno rzeć.

– Co uczynimy?

– Podpłyniemy do brzegu, wysiądziemy i zakradniemy się tam.

– A canoe pozostawiamy? – zapytał Indianin. – A jeśli to są wrogowie, którzy chcą nas zwabić na brzeg i zabić?

– *Pshaw*¹¹, mamy również broń!

– Niech więc przynajmniej mój biały brat zechce przypilnować łodzi, podczas gdy ja zbadam okolicę.

– Dobrze, zgoda!

Skierowali canoe do brzegu, gdzie Indianin wysiadł, gdy tymczasem biały pozostał na miejscu z bronią w ręku, by

¹⁰ *Daleki Zachód* (ang. Far West, Amerykański Stary Zachód, Dziki Zachód) – popularne określenie zachodnich terenów Stanów Zjednoczonych, odnoszące się do okresu XIX stulecia i pierwszej dekady XX wieku.

¹¹ *Pshaw!* (ang.) – wyraz wyrażający dezaprobatę, irytację, zniecierpliwienie lub niewiarę; odpowiada polskim wyrażeniom: „też coś!” lub „co mi tam!”

oczekiwać jego powrotu. Już po kilku minutach ujrzał go nadchodzącego w pozycji wyprostowanej; był to znak, iż nie ma niebezpieczeństwa.

- No i co? – zapytał biały.
- Jakiś biały człowiek śpi tam pod krzewem.
- Ach! Myśliwy?
- Ma tylko nóż.
- Czy więcej nikogo nie ma w pobliżu?
- Nikogo nie zauważyłem.
- Zatem chodźmy tam!

Wyskoczył z łodzi i mocno ją przywiązał; potem pochwycił swoją ciężką *rifle*¹², wyciągnął do połowy dwa rewolwery, które również posiadał, aby być przygotowanym do walki, i podążył za Indianinem. Wkrótce dotarli do miejsca, w którym śpiący leżał. Obok niego stał przywiązany koń, osiodłany na sposób meksykański.

Mężczyzna nosił owe charakterystyczne, rozszerzające się ku dołowi, meksykańskie spodnie, białą koszulę i niebieską kurtkę, zawieszoną na sposób husarski przy ramieniu. Koszula i spodnie były razem przewiązane żółtą chustą, która niczym pas owinięta była wokół bioder. Za pasem tym nie tkwiła żadna inna broń oprócz noża. Na jego twarzy spoczywało żółte *sombrero*¹³, aby chronić ją przed gorącymi promieniami słońca. Mężczyzna spał tak mocno, że w ogóle nie słyszał zbliżania się dwójki przybyszów.

– Hola, chłopcze, obudź się! – zawołał biały, potrząsając go za ramię.

- Śpiący zbudził się, poderwał się na nogi i wyciągnął nóż.
- Do pioruna, czego chcecie? – zawołał zaspany.
- Najpierw chcemy tylko wiedzieć, kim jesteś.
- A wy kim?

¹² *Rifle* (ang.) – strzelba.

¹³ *Sombrero* (hiszp. kapelusz, od *sombre*: cień) – filcowy lub słomkowy kapelusz o bardzo szerokim rondzie, wywiniętym do góry; noszony w Meksyku i w południowej części Stanów Zjednoczonych.



*Wkrótce dotarli do miejsca, w którym śpiący leżał.
Obok niego stał przywiązany koń, osiodlany na sposób meksykański.*

– Hm, zdaje mi się, że odczuwasz teraz trwogę przed tym czerwonym człowiekiem. To nie jest konieczne, stary koniu. Jestem niemieckim traperem, nazywam się Helmers i pochodzę z okolic Moguncji, a ten tu to Shosh-in-liett, wódz Apaczów Jicarilla¹⁴.

– Shosh-in-liett? – zapytał obcy. – Och, zatem nie muszę się bać, ponieważ ten wielki wojownik Apaczów jest przyjacielem białych.

Shosh-in-liett znaczy tyle, co Niedźwiedzie Serce.

– No, a ty? – zapytał biały, który nazwał się Helmersem, a więc przedstawił się dokładnie tym samym nazwiskiem, jak sternik z Rheinswalden koło Moguncji.

– Pracuję jako *vaquero*¹⁵ – odpowiedział mężczyzna.

– Gdzie?

– Po tamtej stronie rzeki.

– U kogo?

– U hrabiego de Rodriganda.

– A jak przedostałeś się na tę stronę?

– Do wszystkich diabłów, powiedz mi lepiej, jak mam tam powrócić! Jestem ścigany.

– Przez kogo?

– Przez Komanczów.

– To nie wydaje się być logiczne. Jesteś ścigany przez Komanczów, a leżysz tu, śpiąc w zupełnym spokoju ducha!

– Tylko diabeł by nie zasnął, gdy jest się tak zmęczonym!

– Gdzie trafiłeś na Komanczów?

– Dokładnie na północ stąd, na drodze ku Rio Pecos. Było nas piętnastu mężczyzn i dwie kobiety, ale ich było ponad sześćdziesięciu.

¹⁴ *Apacze Jicarilla* – jedno ze swobodnie wędrujących plemion Apaczów Wschodnich; obecnie mieszkają w stanie Nowy Meksyk i posługują się narzeczem południowych Atabasków; termin *jicarilla* pochodzi z meksykańskiej odmiany hiszpańskiego i oznacza „mały koszyk”, a odnosi się on do małych, szelnych koszy, których plemię to używało jako naczyń do picia.

¹⁵ *Vaquero* (hiszp.) – pasterz bydła; meksykański odpowiednik amerykańskiego kowboja.

– Do stu piorunów! Walczyliście?

– Tak.

– Dalej, mów dalej.

– Ale o czym dalej mam mówić? Napadli na nas, kiedy nawet nie podejrzewaliśmy ich obecności; dlatego wybili większość z nas, a kobiety wzięli do niewoli. Nie wiem ilu jeszcze, oprócz mnie, uciekło.

– Skąd przybyliście i gdzie chcieliście się udać?

Vaquero nie był rozmowny; cedził każde słowo; odpowiedział:

– Jechaliśmy konno do Fort del Guadeloupe, aby odebrać dwie damy, które były tam w odwiedzinach. Napad nastąpił w drodze do domu.

– Kim są te damy?

– *Señora* Arbellez i Karja, Indianka.

– Kim jest *señora* Arbellez?

– Córką naszego inspektora.

Należy tu sobie przypomnieć, że Petro Arbellez sprowadził swego czasu małego Alfonza z Rodrigandy do Meksyku.

– A Karja?

– Jest siostrą Tecalto, wodza Misteków¹⁶.

Na to uwagę zwrócił przysłuchujący się rozmowie Niedźwiedzie Serce.

– Siostra Tecalto? – zapytał.

– Tak.

– On jest moim przyjacielem. Wypaliliśmy razem fajkę pokoju. Jego ukochana siostra nie powinna pozostawać w niewoli. Czy moi biali bracia pojedą ze mną, by ją uwolnić?

– Przecież nie macie koni! – stwierdził *vaquero*.

Indianin rzucił mu lekceważące spojrzenie i odpowiedział:

¹⁶ *Mistekowie* – grupa rdzennych mieszkańców Meksyku, zamieszkująca górskie tereny i doliny obecnego stanu Oaxaca, a także stany Guerrero i Puebla w południowym Meksyku.

– Niedźwiedzie Serce posiada konia wtedy, gdy go potrzebuje. W ciągu godziny zabierze jednego tym psom Komanczom.

– Do pioruna, to byłoby trudne!

– Nie, to rozumie się samo przez się – rzekł biały.

– Ale jak to?

– O jakiej porze zostaliście wczoraj napadnięci?

– Pod wieczór.

– A jak długo tu spałeś?

– Chyba ledwo kwadrans.

– A zatem Komancze wkrótce tu przybędą.

– A niech to wszyscy diabli!

– I to pewne!

– Ale dlaczego?

– Jesteś *vaquero*, a nie znasz zwyczajów dzikich plemion. Jak sądzisz, jakie zamiary mają względem kobiet? Czy pojмали je przez wzgląd na okup?

– Nie, zapewne nie. Wezmą je ze sobą, by zrobić z nich swoje kobiety, ponieważ obie są bardzo piękne.

– Zgoda, a słyszałem, że dziewczęta Misteków słyną ze swojej urody. Skoro więc Komancze nie chcą wydać obu dam, to muszą zatroszczyć się o to, by miejsce ich pobytu nie zostało odkryte; muszą zatrzeć ich ślady. W następstwie tego nie mogą także pozwolić sobie na ucieczkę żadnego z was, i dlatego z całą pewnością wyruszą, by ciebie ścigać, byś nie mógł dostarczyć do domu żadnej wiadomości.

– Teraz mnie oświeciło! – powiedział *vaquero*.

– Komancze byli oczywiście konno?

– Tak.

– Więc ciebie również będą ścigać konno; będą jechać po twoich śladach i gdy tu przybędą, konie będą przy nich.

– Do pioruna, bardzo łatwo na to wpaść, chociaż ja wcale o tym nie pomyślałem!

– Tak, nie wydajesz się być szczególnie bystry! Nie pomyślałeś zatem, że będziesz ścigany?

– Oczywiście, że pomyślałem!

– To dlaczego rozłożyłeś się tu do snu?

– Byłem zbyt zmęczony.

– Mogłeś przynajmniej najpierw sforsować rzekę!

– Tu jest za szeroka, a koń zbyt wyczerpany.

– Dziękuj Bogu, że nie jesteśmy wrogimi Indianami! Zasnąłbyś sobie tutaj, a potem obudził w raju, bez skalpu na głowie. Jesteś głodny?

– Tak.

– Więc chodź z nami do łodzi, ale najpierw wprowadź swego konia głębiej w krzaki, by nie można było go zobaczyć z daleka!

Rozmowa ta prowadzona była jedynie przez Helmersa i *vaquero*. Niedźwiedzie Serce udał się z powrotem do canoe, gdzie odpoczywał, leżąc na skórze bizona. *Vaquero* dostał mięso, woda była w rzece, więc we wszystko został zaopatrzony.

Skoro najadł się do syta, Helmers zapytał go o jego bliższą sytuację i dowiedział się przy tym o wszystkich okolicznościach, jakie miały związek z rodziną Rodriganda. Gdy minął jakiś czas, Helmers opuścił łódź, by wspiąć się na nieco wyższy brzeg i przeprowadzić obserwację. Ledwo dostał się na wzniesienie, gdy wydał z siebie okrzyk zdumienia:

– Hola, oni nadchodzą! Jeszcze trochę i przegapilibyśmy właściwy moment.

Indianin w mgnieniu oka stanął przy nim.

– Sześciu jeźdźców! – powiedział.

– Przypada trzech na jednego.

Zdaje się, że niemiecki traper nie myślał wcale o tym, że *vaquero* mógłby również wziąć na siebie któregoś z wrogów.

– Kto bierze konia? – zapytał Niedźwiedzie Serce.

– Ja – odpowiedział Niemiec.

Indianin skinął głową, a potem oznajmił:

– Z tych Komanczów nie może uciec nawet jeden!

– To rozumie się samo przez się – zauważył Helmers, a następnie zwrócił się do *vaquero*: – Posiadasz jedynie nóż?

– Tak.

– Zatem w tej sytuacji nie będziesz nam wcale przydatny. Pozostań, leżąc w canoe, a ja tymczasem wezmę twojego konia.

– Ale on może zostać zastrzelony! – powiedział mężczyzna lękliwie.

– Drobnostka, otrzymamy bowiem za niego sześć innych!

Meksykanin musiał postąpić wedle tego rozporządzenia. Schował się w canoe, podczas gdy tamci dwaj udali się do miejsca, w którym go znaleźli. Zajęli pozycje obok konia, ukrytego za krzewami porastającymi brzeg, i czekali.

Jeźdźcy, których Helmers rozpoznał najpierw jako sześć ciemnych punktów w oddali, szybko się przybliżali. Można było już rozpoznać ich ubiór i uzbrojenie.

– Tak, to te psy Komancze – powiedział Niedźwiedzie Serce.

– Są pomalowani wojennymi barwami, więc nie dają żadnej szansy – zauważył Helmers.

– Oni sami nie mogą żadnej otrzymać!

– Ci dwaj w tyle muszą się pierwsi o tym przekonać; tych z przodu zostawimy sobie na później.

– Ja biorę tych z tyłu – powiedział Apacz.

– Dobrze!

Komancze zbliżyli się teraz na około pół kilometra; jechali wciąż jeszcze najszybszym galopem. Za jakąś minutę powinni się znaleźć w zasięgu strzelb.

– Jacy oni są głupi! – zaśmiał się Niemiec.

– Ci Komancze nie mają mózgow, więc nie potrafią myśleć!

– Mogliby przecież przynajmniej przypuszczać, że *vaquero* się tu ukrył i na nich czeka! W każdym razie sądzą jednak, że od razu przejechał przez strumień.

– Ugh!¹⁷ – powiedział Apacz.

Z tym wezwaniem do zachowania uwagi, uniósł swoją strzelbę. Helmers uczynił to samo. Huknęły dwa strzały, a za chwilę jeszcze dwa. Czterech Komanczów zważyło się na ziemię. W następnym momencie Helmers dosiadł konia *vaquero* i przedarł się na nim przez krzaki. Dwaj pozostali przy życiu Komancze byli zaskoczeni i nie mieli czasu, by zawrócić konie, tak więc Niemiec był już przy nich. Unieśli swoje tomahawki do śmiertelnego ciosu, ale on trzymał w ręku gotowy rewolwer. Nacisnął dwa razy spust i również ci dwaj napastnicy spadli z koni.

Zwycięstwo to zostało osiągnięte w niespełna dwie minuty. Konie poległych schwytano z niewielkim trudem.

Teraz nadszedł *vaquero*. Widział wszystko z canoe.

– Do pioruna! – zauważył. – To się nazywa zwycięstwo!

– Phi! – zaśmiał się Niemiec. – Sześciu Komanczów, co to za liczba. Z ludzką krwią powinno się właściwie obchodzić oszczędnie, gdyż jest to najcenniejszy płyn, jaki istnieje; jednak ci Komancze nie zasłużyli na nic innego.

Zabrano zabitym broń i ukryto na brzegu¹⁸, po czym Niedźwiedzie Serce obydwóch wrogów, których uśmiercił, pozbawił skalpów, aby je sobie powiesić u pasa.

– Co teraz? – zapytał Niemiec. – Wyruszamy natychmiast?

– Tak – odpowiedział Apacz. – Siostra mojego przyjaciela nie powinna daremnie wyczekiwać pomocy.

– Bierzemy ze sobą *vaquero*?

Niedźwiedzie Serce zlustrował tamtego wzrokiem, po czym powiedział:

– Rób, co chcesz!

– Idę z wami! – oświadczył Meksykanin.

¹⁷ *Ugh* (częściej *howgh*) – rozpowszechnione w literaturze przygodowej (np. Cooper, May) słowo, rzekomo używane przez Indian różnych plemion jako powitanie lub potwierdzenie („rzekłem” lub „niech się tak stanie”).

¹⁸ *Ukryto na brzegu* – u. K. Maya: wrzucono do rzeki; zmieniono, ponieważ w dalszej części ta broń jest wykorzystywana.



*Z tym wezwaniem do zachowania uwagi, uniósł swoją strzelbę.
Helmerts uczynił to samo. Huknęły dwa strzały, a za chwilę jeszcze dwa.*

– Nie sądzę, żebyśmy cię mogli potrzebować – zauważył Helmers.

– Dlaczego?

– Bohaterem to ty nie jesteś.

– Nie miałem przecież teraz żadnej broni!

– Ale podczas wczorajszego napadu również uciekleś.

– Tylko po to, by sprowadzić pomoc.

– Ach! Więc tak! No cóż, czy potrafisz odszukać miejsce, w którym zostaliście napadnięci?

– Tak.

– Więc możesz nam towarzyszyć.

– Czy mogę wziąć jakąś broń Indian?

– Tak. Weź też jednego z ich koni. Twojego puścimy wolno; jest za bardzo zdrożony i byłby tylko dla nas zawadą.

Dosiedli trzy najlepsze zwierzęta, a resztę puścili wolno; następnie ten mały orszak wyruszył.

Kierowano się ciągle na północ, w stronę Rio Pecos. Z początku droga prowadziła przez otwartą prerię, następnie podniosła się przed nimi sierra¹⁹, której wzgórze porośnięte było lasem; jechali przez doliny i wąwozy, a pod wieczór dotarli do wzniesienia, z którego można było objąć wzrokiem małą sawannę.

– Ugh! – zawołał Apacz, który jechał z przodu.

– Co tam? – zapytał Niemiec.

– Spójrz!

Niedźwiedzie Serce wyciągnął rękę i wskazał w dół.

Obozowała tam gromada Indian, pośrodku której ujrano jeńców. Niemiec wyjął z kieszeni małą lunetę, rozłożył ją, podniósł do oczu i spojrzał przez nią.

– Co widzi mój biały brat? – zapytał Apacz.

– Czterdziestu dziewięciu Komanczów.

– Pshaw! – rzekł Apacz lekceważąco.

– I sześciu więźniów.

¹⁹ Sierra (hiszp.) – łańcuch górski.

– Są tam kobiety?

– Tak, dwie.

– Uwolnimy je!

Słowa te wypowiedział Apacz z tak wielkim, wewnętrznym spokojem, że musiało się wydawać oczywistym, iż był on gotów całkiem sam uderzyć na grupę Komanczów.

– Wieczorem? – zapytał Niemiec.

– Tak – przytaknął Apacz.

– Ale jak to wykonać?

– Tak, jak wódz Apaczów! – powiedział dumnie Niedźwiedzie Serce.

– Stoję przy nim. Tych czterdziestu dziewięciu Komanczów nie może wystawić licznych straży.

– Powinniśmy się ukryć.

– Dlaczego? – zapytał *vaquero*.

– Chcesz im się może pokazać? – odpowiedział Helmers.

– Nie. Ale oni przecież tutaj nie mogą nas w ogóle zobaczyć.

– Prócz ciebie mogli wszak uciec też inni. Tych z pewnością również ścigano, a kiedy ścigający będą powracać, mogą nas bardzo łatwo zauważyć. Trzymaj konie. My obaj najpierw zatroszczymy się o to, żeby nasze tropy zostały zatarte.

Wraz z Niedźwiedzim Sercem przemierzył z powrotem odcinek drogi należący do przebytego szlaku, by uczynić ślady kopyt niewidocznymi. Następnie, w najgęstszych zaroślach wzgórza, poszukali i również odnaleźli kryjówkę, gdzie się ukryli razem ze swoimi zwierzętami.

Słońce zaszło i zapadł wieczór. Następnie przyszła ciemna noc, a w kryjówce nie nastąpiło jeszcze żadne poruszenie. Najlepiej czas na atak nadszedł krótko po północy.

– No i co, wymyśliłeś, jak to przeprowadzić? – zapytał Niemiec Apacza.

– Tak – odpowiedział tamten.

– Jak?

– Tak, jak to robią dzielni mężowie. Czy potrafisz zabić strażnika tak, by nie wydał z siebie głosu?

– Tak.

– Dobrze! Zatem podkradniemy się tam, uśmiercimy strażników, przetniemy więzy jeńcom, i uciekniemy razem z nimi.

– Naturalnie za pomocą koni?

– Tak.

– Zatem już czas, by zaczynać, gdyż podchodzenie to żmudna rzecz.

– Ale ten *vaquero* zostanie z tyłu? – zapytał Apacz.

– Tak; ma konie do pilnowania.

– Gdzie będzie na nas oczekiwać?

– Tam, gdzie po raz pierwszy ujrzelśmy Komanczów. Musimy tamtędy przejść bokiem, bo przecież w każdym razie wracamy nad Rio Grande.

– Zatem zaczynajmy!

Dwaj odważni mężczyźni chwycili za broń i po tym, jak udzielili *vaquero* niezbędnych instrukcji, oddalili się.

Na dole w dolinie płonęło pojedyncze ognisko wartownicze; wokół niego leżeli śpiący Komancze, a przy nich skrępowani jeńcy. Posterunków strażniczych należało zatem poszukiwać poza tym kręgiem. Gdy obaj dotarli do doliny, Niedźwiedzie Serce powiedział:

– Ja pójdę na lewo, a ty na prawo.

– Dobrze. W każdym razie najpierw uwalniamy obie kobiety. Rozdzielili się.

Helmers obchodził obóz z prawej strony. Oczywiście, nie robił tego w pozycji wyprostowanej, lecz w sposób, jaki stosuje się na prerii. Człowiek wykonujący podchód kładzie się na ziemi, i przesuwa dalej powoli i ostrożnie, niczym wąż. Nie może być przy tym ani usłyszany, ani zauważony, musi też zadbać o to, aby konie niczego nie zwierzyły, w przeciwnym razie, swym trwożliwym parsaniem zdradzą bliskość wroga.

Tak zatem uczynił to Helmers. Najpierw zataczając szeroki łuk, następnie stopniowo go zwężając do chwili, aż ujrzał ciemną postać, która wolno kroczyła w przód i w tył. To był wartownik. Podczołgał się w tym kierunku z wielką ostrożnością. Na szczęście noc była ciemna, a ogień już nie płonął. Zbliżył się do strażnika na pięć kroków, po czym nagle doskoczył do niego, chwycił go od tyłu lewą ręką za gardło, ścisnął je tak mocno, iż tamten nie mógł wydobyć z siebie głosu, a prawą pchnął go długim nożem Bowie'ego²⁰ w pierś. Mężczyzna opadł na ziemię, bez jednego słowa, czy uczynienia najłżejszego szmeru.

Może po kwadransie udało mu się dokonać tego samego, i drugi strażnik został też unieszkodliwiony; następnie natknął się na Niedźwiedzie Serce, który dokładnie w ten sam sposób zabił dwóch innych Komanczów.

– Teraz kobiety! – wyszeptał Indianin.

– Tylko ostrożnie! – poprosił Niemiec.

– Pshaw! Apacz jest mężny, ale też ostrożny. Naprzód! – zabrzmiała odpowiedź.

Zawrócili całkiem bezgłośnie przez dosyć wysoką, mierzącą stopę długości trawę, w kierunku ogniska. Kobiety, przez wzgląd na jasne kolory ich ubrań, były łatwe do odróżnienia. Helmers dotarł do nich pierwszy i zbliżył swe wargi do ucha jednej z nich. Przy tym, mimo ciemności, dojrzał, że oczy miała otwarte i obserwowała go.

– Proszę się nie bać i zachować ciszę! – szepnął. – Dopiero, kiedy przetnę również więzy twojej przyjaciółce, pospieszcie do koni.

Zrozumiała go. Kobiety leżały razem przy sobie. Miały związane ręce i nogi. Niemiec poprzecinał rzemienie, które wżarły się w ich ciała.

²⁰ *Nóż Bowie'ego* (ang. *Bowie knife*) – rodzaj amerykańskiego noża myśliwskiego, spopularyzowanego w początkach XIX wieku przez słynnego pioniera, żołnierza i legendarnego bohatera rewolucji teksańskiej, zabitego w bitwie o Alamo, Jamesa „Jima” Bowie'ego, (1796-1836); nazwę zaczęto z czasem stosować w odniesieniu do wszystkich dużych, ciężkich noży o szerokiej głowni.

Gdy tylko Apacz zauważył, że Helmers zajął się obiema damami, poszukał uwięzionych mężczyzn. Było ich czterech i leżeli nieopodal. Podkraść się do nich. Oni również nie spali. Wziął do ręki nóż, by także im poprzecinać rzemienie. Uczynił to już przy dwóch, gdy całkiem nagle podniósł się w górę, będący w pobliżu, jeden z Indian. W półśnie usłyszał ruchy Apacza. Wprawdzie Niedźwiedzie Serce natychmiast unosił swój nóż i pchnął go nim w pierś, lecz tamten, trafiony śmiertelnie, miał jeszcze dość czasu, by wydać z siebie głośny ostrzegawczy okrzyk.

– Naprzód, do koni! Za mną! – wołał Apacz, uwalniając przy tym błyskawicznie z więzów dwójkę pozostałych.

Ci zerwali się z ziemi i rzucili do koni.

– Szybko, szybko, na Boga! – zawołał również Niemiec.

Chwycił damy za nadgarstki, mając każdą z nich u boku, i pociągnął je w stronę koni; jednak przeguby ich rąk i nóg były tak obolale od więzów, że ledwie mogły iść.

– Niedźwiedzie Serce! – zawołał Niemiec w najwyższej trwodze.

– Tutaj! – zabrzmiał głos Apacza.

– Szybko, do mnie!

W następnej chwili wódz znalazł się na miejscu. Chwycił jedną z kobiet, unosił w górę, i pospieszył wraz z nią do koni. Helmers uczynił to samo z drugą. Wskoczyli na konie, wciągnęli kobiety do siebie na siodła, odcięli lassa, którymi zwierzęta były przywiązane do palików, i z miejsca pognali.

Wszystko to działo się w wielkiej trwodze, ale i z szybkością błyskawicy, jednak ani chwili za wcześnie, ponieważ dokładnie w momencie, w którym popędzili zwierzęta, huknęły za nimi strzały Komanczów.

Ci wcześniej nie myśleli wcale o możliwości ataku i dlatego zapadli w mocny sen. Teraz zrywali się z miejsc i chwytali za broń. Tworzyli bezładne kłębowisko i dopiero później zorientowali się, co się stało, gdy więźniowie gnali już przed siebie. Teraz oni również pobiegli do pozostałych koni i popędzili za zabiegami.



Wskoczyli na konie, wciągnęli kobiety do siebie na siodła, odcięli lassa, którymi zwierzęta były przywiązane do palików, i z miejsca pognali.

Helmery i Apacz jechali na przodzie. Znali drogę, a każdy z nich miał przed sobą dziewczynę. Na szczycie wzgórza czekał na nich *vaquero*. Gdy usłyszał ich nadjeżdżających, wsiadł na siodło, a dwa pozostałe konie ujął za uzdy.

– Za nami! – zawołał do niego Helmers, gdy zobaczył, że się zatrzymał.

Tak więc ta dzika gonitwa pośród zupełnych ciemności, jakie ponownie zapadły po drugiej stronie wzniesienia, kierowała się w dół doliny, z uciekinierami na czele i Komanczami za ich plecami. Ci ostatni bez przerwy ładowali i strzelali ze swojej broni, nikogo jednak nie trafiając. W końcu dotarto na otwartą przelęg i teraz można było pomyśleć o obronie.

– Czy potrafisz jechać konno, *señora*? – zapytał Helmers swoją damę.

– Tak.

– Tu są wodze! Cały czas wprost przed siebie!

Zeskoczył na ziemię i wsiadł na swojego konia, którego *vaquero* prowadził za cugle. Apacz uczynił dokładnie to samo. Teraz tworzyli tylną straż i trzymali Indian w szachu za pomocą swoich wysmienitych strzelb. Tak działo się do czasu, aż nadszedł poranny świt, a wtedy okazało się, że Komancze pozostali daleko w tyle, częściowo z ostrożności, a częściowo chyba też dlatego, że nie chcieli teraz jeszcze tak trudzić swych zwierząt, jak uciekinierzy.

– Czy możemy jechać wolniej? – zapytał *vaquero*.

– Nie – odpowiedział Niemiec. – Jedziemy wciąż dalej tak szybko, jak to możliwe, by strumień oddzielił nas od Komanczów.

Teraz mógł wyraźnie widzieć obie uwolnione kobiety, a zatem dokładniej im się przyjrzał. Jedna była Hiszpanką, a druga Indianką, ale obie nadzwyczajnej urody.

– Czy możesz jeszcze wytrzymać tę jazdę, *señora*? – zapytał tę pierwszą.

– Tak długo, jak pan zechce – odpowiedziała.

- Jak mam panią nazywać?
- Jestem Emma Arbellez. A pan?
- Moje nazwisko Helmers.
- Helmers? Brzmi po niemiecku.
- Faktycznie jestem Niemcem.
- Skąd?
- Z Moguncji.
- Ach, ma pan tam krewnych, którzy nazywają się tak samo?
- Mam brata.
- Czy jest sternikiem?

Spojrzał na nią mocno zdumiony.

- W istocie.
- Tego znam!
- Niemożliwe!
- Naprawdę!
- Skąd?
- Podróżowałam wraz z nim.
- To byłby naprawdę cudowny zbieg okoliczności!
- I tak jest. Udałam się z ojcem na kontynent. Z powodu burzy musieliśmy wysiąść na Helenie, żeby naprawić przeciek. Cumował tam też „Jeffrouw Mietje”.

- Tak, to jego statek!
- A kapitan Dangerlahn zabrał nas ze sobą do Hull²¹.

Ten urywany dialog prowadzony był od jednego konia do drugiego, w czasie najszybszej jazdy. Teraz Niemiec pochwylił wodze konia Hiszpanki.

- Czy zechce pani mi zaufać?
- Chętnie.
- Również na wodzie, zupełnie jak mojemu bratu?
- Tak. Przed nami więc woda?

²¹ Hull (pełna nazwa: *Kingston upon Hull*) – miasto w Wielkiej Brytanii, w hrabstwie ceremonialnym East Riding of Yorkshire, typowo przemysłowe (stocznie, rafinerie, fabryka czekolady).

– Musimy przekroczyć rzekę.

– Czy nam się to uda?

– Mam nadzieję. Niestety, tylko troje z nas jest uzbrojonych; jednak tam, nad Rio Grande, leży jeszcze pozostała broń, jaką wczoraj odebraliśmy Komanczom.

– Już wczoraj walczyliście?

– Tak. Spotkaliśmy *vaquero* i usłyszeliśmy od niego szczegóły. Zabiliśmy jego prześladowców i postanowiliśmy, że uwolnimy również was.

– Dwóch mężczyzn! Przeciwno tak wielu!

Spotkał się z błyszczącym spojrzeniem jej ciemnych oczu i zauważył, że wzrok jej z podziwem otoczył jego okazałą sylwetkę; na tym jednak też rozmowa się zakończyła.

Gdy uciekająca grupa dojechała do Rio Grande, prześladowcy zostali tak daleko w tyle, że zupełnie stracono ich z oczu. Broń zastrzelonych Indian wciąż tutaj leżała i została rozdzielona pomiędzy tych, którzy żadnej nie posiadali. Z czterech uratowanych mężczyzn trzech było *vaqueros* i jeden majordomus²², czyli dozorca domu.

– Co uczynimy? – zapytał ten ostatni. – Czekamy tu na Indian, by dać im nauczkę? Mamy teraz osiem karabinów.

– Nie, przeprawimy się. Po tamtej stronie mamy przez sobą rzekę jako linię obrony. Panie zajmą miejsce w canoe.

Tak też się stało. Majordomus przepłynął z damami na drugą stronę, podczas gdy pozostali wjechali konno do rzeki. Wszystko przebiegło w pełni szczęśliwie. Gdy dotarto na drugi brzeg, canoe zostało zatopione i rozpoczęto przygotowania do obrony. Przy tym Emma Arbellez wciąż trzymała się u boku Niemca.

– Dlaczego natychmiast nie jedziemy dalej, *señor*? – zapytała.

– Zabrania nam tego zdrowy rozsądek – odpowiedział. – Z tyłu mamy wroga, który nas znacznie przewyższa liczebnie.

– Ale posiadamy osiem karabinów! – odpowiedziała śmiało.

²² *Majordomus* – zarządca wielkopańskich dworów.

– Przeciwno pięćdziesięciu, które ma nieprzyjaciel. Proszę zauważyć, że mamy pod opieką damy!

– Sądzi więc pan, że powinniśmy pozwolić się tutaj oblegać?

– Nie. Komancze pomyślą zapewne, że po naszej przeprawie natychmiast pojechaliśmy dalej. Wejdą więc również od razu do wody, a gdy znajdzie się ich wystarczająco wielu w rzece, to możemy ich liczbę zredukować do tego stopnia, że będą zmuszeni zaprzestać pościgu.

– Ale jeśli teraz zachowają ostrożność?

– W jaki sposób?

– Wysyłając tu najpierw zwiadowców.

– Hm, w istocie, możliwe, że to uczynią!

– Jakie kroki wobec tego pan podejmie?

– Pojedziemy dalej i zawrócimy okrężną drogą. Zatem na przód, zanim przybędą!

Dosiedli ponownie koni i pognali pełnym galopem w głąb leżącej na wprost równiny. Tam wykonali objazd łukiem i zawrócili ponownie. Dotarli do rzeki trochę powyżej miejsca, w którym się przez nią przeprawili. Ledwie to im się udało, jak po drugiej stronie dał się słyszeć głośny tętent kopyt.

– Nadjeżdżają! – oznajmił majordomus.

– Zatkan koniom chrapy, by nie parskały! – rozkazał Helmers.

Bystra dziewczyna jednak trafnie przeczuła. Komancze poszukiwali śladów na drugiej stronie brzegu, a potem dwóch z nich wjechało ostrożnie do rzeki. Przeprawili się na tę stronę, poszukali również tutaj i odnaleźli tropy, które prowadziły dalej w głąb łądu.

– *Ni-uake, mi ua o-o, ni esh miushyame* – Tu je widzimy, możecie jechać! – zawołali w kierunku drugiego brzegu.

Na to wezwanie cały oddział Indian, jeden po drugim, wjechał do wody. Rzeka była tak szeroka, że pierwszy z Komanczów nie osiągnął jeszcze brzegu, podczas gdy ostatni z nich opuszczał ten drugi. Uciekinierzy tkwili, ukryci w zaroślach. Teraz nadszedł ich czas.

– W których celujemy? – zapytał majordomus.

– Do tych pierwszych w wodzie. Tamci dwaj, którzy stanęli już na brzegu, z pewnością są nasi!

– Tylko niech dwóch nie strzela do jednego! – ostrzegł Apacz. – Liczyć za każdym razem do ośmiu. Strzelamy do nich w takiej kolejności, w jakiej my stoimy.

– Dobrze, wybornie! – powiedział Helmers. – Gotowi?

– Tak – wyszeptano osiem razy w odpowiedzi.

– Zatem ognia!

Osiem celnych strzałów huknęło w jednej i tej samej chwili; zdawało się, że to była jedna salwa armatnia i ośmiu pierwszych Komanczów tonęło w wodzie. Niemiec i Apacz mieli dwururki, więc wystrzelili drugi raz i pozwolili zatonać jeszcze dwóm wrogom.

– Szybko załadować ponownie! – zawołał Helmers.

Było zadziwiającym, niemalże śmiesznym widzieć, jakie wrażenie salwa ta wywarła na ocalałych. Komancze zawracali swe konie i płynęli ponownie ku przeciwległemu brzegowi. Wielu z nich zsuwało się przezornie ze zwierząt i płynęło obok nich, aby się za nimi schować. Jednak ci dwaj, którzy znajdowali się już z tej strony brzegu, wyglądali na najbardziej wojowniczych, ale też najmniej ostrożnych. Odrzucili swe strzelby i nadjeżdżali w pełnym galopie. Niemiec natychmiast wyciągnął rewolwer i podkradł się naprzeciw nich, kryjąc za zaroślami. Nie zauważyli go i właśnie, kiedy chcieli minąć miejsce, w którym się znajdował, wystrzelił dwa razy. Obaj napastnicy spadli martwi z koni.

– Hola, są jeszcze dwa naładowane karabiny! – zawołał Helmers.

– Te są dla nas! – odpowiedziała Emma Arbellez.

– Potrafią panie strzelać?

– I to obie!

– Zatem szybko!

Doskoczył do miejsca w tyle, gdzie odłożył swoją dwururkę, a obie panie chwyciły za karabiny dwóch Komanczów. To wszystko przebiegało tak szybko, że od pierwszej salwy do chwili obecnej, upłynęła ledwie minuta. Ponownie załadowano broń.



Osiem celnych strzałów huknęło w jednej i tej samej chwili; zdawało się, że to była jedna salwa armatnia i ośmiu pierwszych Komanczów tonęło w wodzie.

– Ognia! – rozległa się głośna komenda.

Wrogowie nie zdołali jeszcze dotrzeć ponownie do przeciwnego brzegu; w tym momencie otrzymali salwę z ośmiu strzelb jednolufowych i dwóch dubeltówek, z których prawie wszystkie były solidnie wycelowane. Wielu rannych zostało porwanych w dół rzeki, a wielu nietkniętych kulą udawało martwych, by zmylić dzielnych obrońców, pozwalając się przy tym również nieść prądowi i w ten sposób ująć przed strzałami.

– Nie dajcie się zwieść! – zawołał Helmers. – Szybko załadować ponownie i podążać za tymi lajdakami wzdłuż brzegu! Kto nie zatonął, ten jeszcze jest żywy!

Posłuchano jego słów i wkrótce Komancze odnotowali stratę powyżej dwudziestu zabitych ludzi. Kryli się teraz po drugiej stronie w zaroślach i nie odważyli ponownie pokazać.

– Na teraz może to wystarczyć! – oznajmił Niemiec.

– Nie będą nas dalej ścigać – zauważył Apacz. – Te psy Komancze nie mają mózgu w swoich czaszkach!

– Dziękuję za pomoc, którą nam wyświadczyliście, *senority* – powiedział Helmers. – Nie miałem pojęcia, że panie strzelają jak prawdziwy westman²³.

– W naszych samotnych okolicach jest się zmuszonym, by taką umiejętność sobie przyswoić – odparła Emma. – Czy rzeczywiście myśli pan, że od teraz nie będziemy już niepokojeni?

– Mam taką nadzieję!

– Zatem ruszajmy. Miejsce, które kosztowało tak wiele istnień, jest dla mnie straszne, chociaż ja sama również chwyciłam za broń.

– Tam są konie dwóch ostatnich Indian. Mamy je brać ze sobą? – zapytał Helmers.

– Ma się rozumieć! – odpowiedział majordomus. – Koń wytrenowany na sposób indiański przedstawia zawsze dużą wartość. Moi vaqueros wezmą je za cugle.

²³ *Westman* (ang.) – człowiek Zachodu, doświadczony myśliwy, traper.

Po krótkim postoju ponownie wsiedli na konie i teraz rzeczywiście wjechali w głąb prerii, w której kierunku kierowali się wcześniej jedynie na pozór. Chociaż często i uważnie oddział lustrował horyzont leżący również za nimi, to żaden ślad pościgu już się nie pojawił. Tak upłynęło kilka godzin, i teraz pozwolono koniom, by szły wolniejszym krokiem, co również ułatwiło rozmowę.

Niedźwiedzie Serce, jak to już miało miejsce poprzednio, teraz ponownie jechał obok ślicznej Indianki z plemienia Misteków, gdy tymczasem Niemiec dotrzymywał towarzystwa Meksykance.

– Przebywamy obecnie już prawie dzień ze sobą, a jednak nie mieliśmy możliwości lepszego zapoznania się – powiedział ten ostatni do swojej damy. – Niech pani nie kładzie tego na karb mojej nieuprzejmości, lecz wini za to te nadzwyczajne okoliczności!

– Och, myślę jednak, że jest wręcz przeciwnie, i całkiem dobrze się poznaliśmy – zauważyła z uśmiechem.

– W jakim sensie?

– Wiem o panu, że ryzykuje dla innych życie, że jest pan odważnym i roztropnym myśliwcem, a pan wie o mnie, że... że... że ja też potrafię strzelać.

– To już jest coś, lecz nie za wiele. Pozwoli pani, że przynajmniej z mojej strony, nadrobię to, co niezbędne!

– Będę panu bardzo wdzięczna, *señor*!

– Nazywam się Anton Helmers. Jestem młodszym z dwóch braci. Chcieliśmy obaj studiować, ponieważ jednak nie starczyło na to środków, a ojciec zmarł, to brat mój wyruszył na morze, a ja do Ameryki, gdzie po długiej tułaczce znalazłem zatrudnienie jako goniec na prerii²⁴.

²⁴ *Goniec na prerii (Goniec leśny)* – (fr. Coureur des bois, niem. Waldläufer) – określenie myśliwych i traperów, którzy w początkach państwowości Stanów Zjednoczonych i Kanady wyruszali z Nowej Francji na położone z dala od cywilizacji tereny zachodnie w celu zdobycia futer dzikich zwierząt (zwłaszcza bobrów), które pozyskiwali samodzielnie lub nabywali od Indian; służyli oni również jako kurierzy, przekazujący ważne informacje lub rozkazy na trudno dostępnych obszarach Dzikiego Zachodu.

– Zatem ma pan na imię Anton? Mogę więc chyba zwracać się do was *señor* Antonio?

– Jeśli tak pani woli, to bardzo proszę.

– Ale w jakim celu dotarł pan tak daleko na południe, do samej Rio Grande?

– Hm, to jedyna rzecz, o której właściwie nie powinienem mówić!

– A więc to tajemnica?

– Może tajemnica, a może też jedynie bardzo wielkie, prawdziwe dziecięce marzenie.

– Zaciekawia mnie pan!

– No cóż, nie chcę tak trzymać pani w ciągłym napięciu – powiedział, uśmiechając się. – Chodzi tu mianowicie o ni mniej, ni więcej, jak tylko o odkrycie niezmiernie cennego skarbu.

– Cóż to za skarb?

– Prawdziwy, składający się z drogocennych kamieni i szlachetnych kruszców.

– A gdzie ma on leżeć?

– Tego jeszcze nie wiem.

– Ach, to przykra wiadomość! Ale gdzie zatem usłyszał pan o istnieniu tego skarbu?

– Daleko na północy. Miałem to szczęście, by pewnemu staremu, choremu Indianinowi wyświadczyć pewną, nie taką małą przysługę, a kiedy ten umierał, powierzył mi, z wdzięczności za nią, tajemnicę owego skarbu.

– Ale nie powiedział panu rzeczy najważniejszej, a mianowicie gdzie on leży?

– Powiedział mi, że mam go szukać w Meksyku, i dał mi mapę, na której znajduje się zarys jego położenia.

– A jakiej okolicy dotyczy ta mapa?

– Nie wiem. Mapa zawiera wprawdzie pasma górskie, odwzorowanie dolin i cieków wodnych, lecz nie ma na niej żadnych poszczególnych nazw.

– To jest jednak wysoce zdumiewające. Czy Shosh-in-liett, wódz Apaczów, również wie o tym?

– Nie.

– A przecież zdaje się, iż jest on pańskim przyjacielem?

– Jest nim rzeczywiście, w najpełniejszym tego znaczeniu słowa.

– A ze mną dzieli się pan tajemnicą, chociaż dopiero dzisiaj się poznaliśmy?

Spojrzał jej prosto w twarz swoimi ufnymi, szczerymi oczami i odpowiedział:

– Są ludzie, po których widać, że żadnej tajemnicy nie trzeba przed nimi ukrywać.

– A do tych osób zalicza pan mnie?

– Tak.

Zarumieniła się, podała mu dłoń i powiedziała:

– Nie myli się pan. Dowiodę tego, będąc także szczerą wobec pana i przekażę coś, co dotyczy pańskiej tajemnicy. Czy mogę, *señor*?

– Nawet proszę o to! – odpowiedział z zaskoczoną miną.

– Otóż znam kogoś, kto również poszukuje tego skarbu.

– Ach! Kto to jest?

– Nasz młody zwierzchnik, hrabia Alfonzo de Rodriganda de Sevilla.

– On wie o tym skarbie?

– O, wszyscy mamy wiedzę, że dawni władcy tego kraju ukryli swe skarby, gdy Hiszpanie podbili Meksyk. Poza tym, są miejsca, w których rodzime złoto i srebro spotkać można w olbrzymich ilościach. Miejsca takie zwie się bonanzą. Indianie znają je, jednak wolą umrzeć, niż zdradzić swój sekret białemu człowiekowi.

– A jednak owemu Alfonzo de Rodriganda któryś z nich taki powierzył?

– Nie. Zamieszkujemy w hacjendzie²⁵ del Erina, a tam krąży pogłoska, że w jej pobliżu znajduje się jaskinia, w której władcy

²⁵ *Hacjenda* – gospodarstwo wiejskie w Hiszpanii i w krajach Ameryki Łacińskiej, w dużej mierze trudniące się hodowlą bydła.

Misteków ukryli swe skarby. Wielu poszukiwało tej jaskini; hrabia Alfonso zadał sobie najwięcej trudu, jednak nigdy jej nie odnalazł.

– Gdzie leży ta hacjenda del Erina?

– Nieco ponad dzień drogi stąd, przy zboczach gór Cohahuila. Zobacz ją pan, ponieważ mam nadzieję, że będziecie nam aż tam towarzyszyć!

– Nie opuszczę pani, dopóki nie upewnię się, że jesteś całkowicie bezpieczna, *señora!*

– Później również jeszcze nas pan nie opuści, lecz będziesz naszym gościem, *señor!*

– Pani bezpieczeństwo wprost wymaga, żebym ją opuścił zaraz.

– Dlaczego?

– Zabiliśmy pewną liczbę Komanczów i jestem w pełni przekonany, że za nami podąża po kryjomu kilku szpiegów, aby zobaczyli, gdzie się znajdujemy. Jeśli zwiadowcy ci nie zostaną unieszkodliwieni, napadną na nas, aby się zemścić. Dlatego przy hacjendzie zawrócę z Niedźwiedzim Sercem, żeby tych szpiegów zabić.

Rzuciła mu zatroskane spojrzenie i powiedziała:

– Narażacie się na nowe niebezpieczeństwo!

– Niebezpieczeństwo? Phi! Łowca prerii znajduje się stale w niebezpieczeństwie, jest do niego przywykły. Pozostaniemy jednak teraz przy naszym temacie, czyli królewskim skarbie! Więc nikt nie wie, gdzie poszukiwać tej jaskini?

– Przynajmniej żaden biały.

– Lecz Indianin?

– Tak. Jest jedna osoba, która z pewnością wie o skarbie królów, a może nawet dwie. Tecalto jest jedynym potomkiem dawnych władców Misteków; oni przekazali mu tę tajemnicę. Karja, która tam jedzie obok wodza Apaczów, jest jego siostrą, a więc nie jest wykluczone, że on się z nią tą wiedzą podzielił.

Helmers przyjrzał się teraz pięknej Indiance z większym zainteresowaniem niż poprzednio.

– Czy ona jest dyskretna? – zapytał.

– Tak sędzę – odpowiedziała, jednak potem dodała z uśmiechem: – Mówi się natomiast, że damy są dyskretne tylko do pewnego momentu!

– A jaki to moment, *señora*?

– Zakochanie.

– Ach! Możliwe, że ma pani rację – powiedział wesoło. – Może mogę też uzyskać wiedzę, czy Karja już w takim momencie się znalazła?

– Uważam to prawie za pewne.

– Ach! Kim jest ten szczęściarz?

– Niech pan zgadnie! To nie jest trudne.

Czoło myśliwca zmarszczyło się gwałtownie.

– Domyślam się tego – powiedział. – To hrabia Alfonzo, który chce wyłudzić od niej tajemnicę w drodze uprzejmości.

– Odgadł pan poprawnie.

– A pani sądzi, że jego starania się powiodą?

– Ona go kocha.

– A jej brat, potomek Misteków? Co sądzi o tej miłości?

– Może jeszcze nic o niej nie wie. Jest najsłynniejszym *cibolero*²⁶ i rzadko bywa w hacjendzie.

– Najsłynniejszym *cibolero*? Zatem musiałbym przecież o nim słyszeć! Jednak imię Tecalto jest mi nieznane.

– Wśród myśliwców nie jest on nazywany Tecalto, lecz Mokashi-motak.

– Mokashi-motak, Bizonie Czoło? – zapytał Helmers zaskoczony. – Ach, tego istotnie znam. Bizonie Czoło jest najbardziej znanym łowcą bizonów pomiędzy Red River²⁷ a pustynią Mapimi²⁸. Wiele o nim słyszałem i ucieszyłbym się, gdybym go raz

²⁶ *Cibolero* – łowca bizonów, od hiszp. *cibolo* – bizon.

²⁷ *Red River* (Red River of the South) – rzeka w USA, prawy dopływ Missisipi; przepływa przez stany Arkansas, Luizjana, Teksas i Oklahoma; wypływa z płaskowyżu Llano Estacado.

²⁸ *Mapimi* (właśc. Bolsón de Mapimi) – obszar bezodpływowy, znajdujący się na północy Wyżyny Meksykańskiej; jest niecką o kształcie zbliżonym do

zobaczył. A więc Karja jest siostrą tego sławnego człowieka? Zatem teraz należy patrzeć na nią zupełnie inaczej niż poprzednio!

– Może pan chce również zabiegać o jej względy?

Zaśmiał się i odpowiedział:

– Ja? Jak westman mógłby dać się zauroczyć! I jakbym mógł stawać w szranki z hrabią de Rodriganda! Gdyby to mogło być możliwe, by ulec urokowi, to byłbym tego próbował z całkiem inną osobą!

– A kim byłaby ta inna osoba? – zapytała.

– Nikt inny, jak tylko pani, *señora*! – odpowiedział szczerze.

Jej oczy błysnęły radośnie do niego, gdy odpowiedziała:

– Ale ode mnie nie moglibyście się przecież niczego dowiedzieć o waszym królewskim skarbie!

– O, *señora*, istnieje skarb, który jest znacznie więcej wart niż cała jaskinia wypełniona złotem i srebrem. W tym sensie życzyłbym sobie, by zostać raz szczęśliwym *gambusino*²⁹!

– Proszę szukać, może pan znajdzie!

Wyciągnęła do niego rękę, a gdy on ją pochwycił stało się z nimi tak jakby elektryczny fluid³⁰ przepłynął z jednego na drugie. Zrozumieli się.

Podczas tej rozmowy, za nimi prowadzona była inna. Tam Niedźwiedzie Serce jechał u boku Indianki. Jego wzrok obejmował z tłumionym żarem piękną postać sąsiadki, która pewnie siedziała na pół dzikim koniu, jakby nigdy nie robiła nic innego, jak tylko jeździła w siodle Indianina. Małomówny wódz nie był przyzwyczajony do marnowania słów, ale gdy już się odezwał, to każda sylaba miała podwójne znaczenie. Karja знаła tę naturę

kwadratu o bokach 320 km, a nieliczne rzeki i strumienie, spływające do jej środka, tworzą bagna i jeziora okresowe; Mapimi zajmuje obszar o powierzchni ca. 129 000 km², o średnim wyniesieniu 900 m n.p.m., otoczony górami, z których najwyższy szczyt to Cerro Centinela (3130 m n.p.m.).

²⁹ *Gambusino* (hiszp.) – poszukiwacz minerałów i drogocennych kruszców.

³⁰ *Fluid* – tu: w przenośni: w fizyce XVII i XVIII w. – ciągła, nieważka substancja, za jaką uważano: ciepło, elektryczność i magnetyzm.



*Podczas tej rozmowy za nimi prowadzona była inna.
Tam Niedźwiedzie Serce jechał u boku Indianki.*

dzikich Indian i dlatego nie dziwiła się temu, że się nie odzywa. Ale dosłownie czuła jego przenikliwy wzrok spoczywający na niej, i była niemal zaskoczona, gdy zwrócił się do niej:

– Do jakiego plemienia należy moja młoda siostra?

– Do plemienia Misteków – odpowiedziała.

– Kiedyś był to wielki naród i jeszcze dziś słynie z urody swoich kobiet. Czy moja siostra jest *squaw*³¹, czy jeszcze dziewczyną?

– Nie mam męża.

– Czy jej serce nadal należy do niej?

Po tak bezpośrednim pytaniu, którego biały na pewno by nie wypowiedział, jej ciemna twarz zaczerwieniła się, ale odpowiedziała pewnym głosem:

– Nie.

Wiedziała, że lepiej będzie powiedzieć prawdę, ponieważ znała Apaczów. Nie zmieniło to jednak żadnych z żelaznych rysów jego twarzy i pytał dalej:

– Czy to jest mężczyzna z jej plemienia, który posiada jej serce?

– Nie.

– Biały?

– Tak.

– Niedźwiedzie Serce ubolewa na swoją siostrą. Niech siostra mu powie, gdyby biały ją oszukał.

– On mnie nie oszuka! – odpowiedziała dumnie i odtrącająco.

Łagodny cichy uśmiech poruszył jego wargami. Lekko pokręcił głową i odrzekł:

– Biały kolor jest fałszywy i łatwo się brudzi. Moja siostra powinna być ostrożna!

Tak brzmiała cała rozmowa obojga, ale była co najmniej równie ważna jak pogawędka pomiędzy Niemcem a Meksykanką.

³¹ *Squaw* – u Indian północnoamerykańskich: kobieta, żona, Indianka.

W trakcie dalszej jazdy Helmers dowiedział się, że obie kobiety przebywały nad Rio Pecos, aby odwiedzić ciotkę Meksykanki, która była bardzo chora. Ta krewna była siostrą matki Emmy, zatem szwagierką starego Petro Arbelleza, który kiedyś był zarządcą hrabiego Ferdinando de Rodriganda, ale teraz jako dzierżawca hrabiego mieszkał na hacjendzie del Erina. Troskliwa opieka obu kobiet nie zapobiegła śmierci ciotki, a jedynie ją opóźniła. Potem Arbellez wysłał majordomusa z *vaqueros*, by przywieźli córkę. W drodze powrotnej zostali napadnięci przez Komanczów i na pewno byliby zgubieni, gdyby w międzyczasie nie pojawił się Niemiec i wódz Apaczów.

Jechano ciągle na południe. Dzień chylił się ku zachodowi. Pozostała jeszcze godzina do czasu, aż zapadnie zmrok. Właśnie znajdowali się na skraju rozległej równiny, która teraz leżała za nimi, gdy Apacz zatrzymał swojego konia i wskazał za siebie.

– Ugh! – zawołał.

Pozostali obejrzeni się, żeby zlustrować płaszczyznę.

– Nic nie widzę – rzekł majordomus.

– My też nie – dodali *vaqueros*, pomimo posiadania wzroku, który był przyzwyczajony do patrzenia w dal.

– Co się dzieje? – zapytała Emma.

– Pani też nic nie widzi? – zapytał Helmers.

– Nie. Widzisz coś, Karja?

– Zupełnie nic – odpowiedziała Indianka.

– Wódz Apaczów nie może chyba mieć na myśli stada dzikich koni, które tam są widoczne? – zapytał majordomus.

– Uff! – odrzekł Apacz z lekceważącą miną.

– Dokładnie to ma na myśli – stwierdził Niemiec.

– Co nas obchodzą mustangi?

– Czy na pewno są nam tak obojętne, *señor* majordomus?

– Tak. Przecież posiadamy konie!

– Proszę spojrzeć dokładniej!

Jakieś dwie mile angielskie³² za nimi galopowało stado koni z podniesionymi ogonami oraz rozwianymi grzywami i ciągle się zbliżało. Nie było widać żadnego jeźdźca, żadnego siodła albo strzemienia, żadnej uzdy, ani najcieńszego sznura.

– To są mustangi! – powtórzył majordomus.

– Uff! – zawołał Apacz po raz drugi, ale teraz naprawdę pogardliwie.

Zawrócił swojego konia i ruszył naprzód galopem. Pozostali musieli pojechać za nim. Emma skierowała konia ku Helmersowi i zapytała:

– Co jest Apaczowi?

– Złości się.

– Dlaczego?

– Z powodu głupoty majordomusa.

– Głupoty? *Señor* Helmers, nasz majordomus jest bardzo doświadczonym człowiekiem!

– Być może w błahych sprawach.

– Och, nie. Jest tak dzielnym jeźdźcem, strzelcem i tropicielem, że trudno znaleźć jemu równego. Pod każdym względem można na nim polegać.

– Tropiciel? Hm! – teraz Niemiec rzucił pogardliwe spojrzenie. – Tak, tropiciel na ulicach miasta lub w zaułkach wiosek. Od *rastreadora*³³, od prawdziwego tropiciela wymaga się znacznie więcej. Mówi pani, że w każdej sprawie można na nim polegać, a jednak byłby panią zgubił, gdyby teraz liczyła pani tylko na jego doświadczenie i jego spryt.

– Ach! Jak to?

– Ponieważ te konie to nie są żadne dzikie mustangi.

³² *Mila* – dawna jednostka długości o różnej wartości, zależnej od rejonu i okresu; początkowo mila oznaczała 1000 kroków podwójnych; tu: mila angielska wynosząca 1609 m.

³³ *Rastreador* (hiszp.) – tropiciel śladów.

- Co to zatem jest?
- To są Komancze, którzy nas ścigają.
- Komancze? Widać przecież tylko konie!
- Tak, ale czerwonoskórzy są także tam obecni. Przeciągnęli rzemienie wokół szyi i korpusu koni i na tych rzemieniach wiszą za lewe ramię i prawą nogę. Nie widzi pani, że są do nas zwrócenie tylko prawym bokiem koni, mimo że jadą dokładnie za nami? Kazali swoim koniom galopować w ukośnym ustawieniu. Taka ukośna pozycja jest zawsze najpewniejszym znakiem, że za koniem znajduje się Indianin.
- Święta Madonno! Zatem chcą nas ponownie zaatakować?
- Albo oni nas, albo my ich. Wolę to drugie, a Apacz jest tego samego zdania. Proszę spojrzeć jak rozgląda się na obie strony!
- Czego szuka?
- Kryjówki dla nas, z której będziemy mogli schwytać Komanczów. Zostawmy mu to. On jest najdzielniejszym i najsprytniejszym czerwonoskórym, jakiego znam i wolę polegać na nim jednym, niż na tysiącu pani majordomusów bez względu na to, jak są doświadczeni!
- Dobrze! Zdamy się na niego i jeszcze na drugiego!
- Na kogo?
- Na pana.
- Ach, rzeczywiście pani tego chce? – zapytał z radosnym błyskiem w oczach.
- Z całego serca! – odpowiedziała. – Chwali pan tylko Apacza, ale zapomina pan powiedzieć, że na panu przynajmniej tak samo można polegać jak na nim.
- Naprawdę pani w to wierzy?
- Tak. Obserwowałam pana. Nie jest pan zwykłym myśliwym, a ja szczerze wierzę, że nosi pan również sławne nazwisko, które nadali panu traperzy i Indianie.
- Przytaknął skinieniem głowy.

- Zgadła pani.
- A jaki jest pana myśliwski przydomek?
- Och, proszę, niech mnie pani zawsze nazywa Antonio albo Helmers.
- Nie chce pan mi powiedzieć?
- Nie teraz. Jeśli przypadkiem ktoś mnie nim nazwie, wtedy dam się rozpoznać.
- Ach, jest pan próżny! Chce pan pozostać *incognito*³⁴ jak jakiś książę.
- Tak – zaśmiał się. – Dobry myśliwy musi być trochę próżny, a książętami jesteśmy wszyscy, mianowicie książętami pustyni, lasów i prerii.
- Książęta! Tak, przychodzi mi do głowy jedno słynne nazwisko.
- Jakie?
- Matava-se.
- Tak, to jedno z najsłynniejszych. Słyszała pani o nim?
- Dużo. Miał przebywać tutaj, w skalistych górach.
- W istocie. Dlatego Indianie nazwali go Matava-se, angielscy myśliwi *Rocky Prince*, a francuscy *coureurs des bois* mówią *Prince du roc*. Wszystkie z tych trzech przydomków znaczą jedno i to samo, mianowicie Książę Skał.
- Czy jest to biały?
- Tak.
- Czy widział go pan?
- Nie, ale słyszałem, że jest moim krajanem.
- Niemcem?
- Niemcem – kiwnął twierdząco głową Helmers. – Ma się nazywać Karl Sternau i właściwie jest lekarzem. Objechał całą

³⁴ *Incognito* (łac. 'nieznany') – określenie wyrażające sytuację, kiedy osoba, grupa osób lub jakikolwiek inny podmiot występuje nie ujawniając swojej tożsamości, bądź z tożsamością zatajoną, nie dając się przy tym rozpoznać.

Amerykę i kilka długich miesięcy spędził razem z naszym dzielnym Niedźwiedzim Sercem, przemierzając niebezpieczne regiony Gór Skalistych. Obecnie od dawna przebywa na starym kontynencie.

Podczas tej rozmowy ciągle jechano galopem. Za nimi leżała otwarta preria, a oni podążali teraz przez kłębowisko kamieni i skał, które były dość odpowiednie, by zaoferować kryjówkę. Tego chciał Apacz, ponieważ nagle skręcił w prawo i następnie zatoczył szeroki łuk tak, że już po dziesięciu minutach dojechali do miejsca, przy którym przejeżdżali wcześniej.

To miejsce zostało bardzo starannie wybrane przez Niedźwiedzie Serce. Grupka zatrzymała się na osłoniętym z trzech stron wzgórzu, opadającym stromo w dół do wąwozu, przez który wcześniej przejechali i którym Komancze musieliby przejść, gdyby rzeczywiście kontynuowali pościg.

Apacz zsiadł z konia i przywiązał go. Pozostali zrobili to samo.

– Teraz broń w dłoń – polecił Helmers. – Nie będziemy musieli długo czekać.

Pozostali posłuchali tego polecenia, nawet obie dziewczyny chwyciły za zdobyczne strzelby. Podeszli aż na skraj wąwozu i tam przyczaili się.

– Psst, *señor!* – skinął Niemiec majordomusowi. – Schowaj głowę, żebyśmy nie zostali zauważeni. Ci Komancze mają bystry wzrok.

– Przepuścić zwiadowców! – powiedział wódz Apaczów, jak zwykle wyrażając się zwięźle.

– Co on ma na myśli? – zapytał jeden z *vaqueros*.

– To bardzo proste – odpowiedział Niemiec. – Oczywiście Komancze będą przypuszczać, że wpadniemy na pomysł, żeby się na nich zasadzić. Dlatego puszczą przodem jednego lub dwóch zwiadowców, żeby się przekonać, czy przygotowaliśmy zasadzkę. Reszta będzie się posuwać w bezpiecznej odległości. Przepuścimy

więc szpiegów, którzy dalej będą jechać naszym śladem i zaczekamy, aż przybędą pozostali. Ale nie strzelamy na chybił trafił, tylko po kolei, tak jak leżymy, żeby żadna kula się nie zmarnowała. Pierwszy z nas strzela do pierwszego Komancza, drugi do drugiego i tak dalej. Zrozumiano?

Vaqueros przytaknęli skinieniem głowy, po czym nastąpiła chwila oczekiwania.

Wreszcie usłyszano ostrożne uderzenia kopyt dwóch koni. Dwóch Komanczów jechało powoli przez tę płataninę skał. Ich bystre oczy przeszukiwały każdy cal kwadratowy okolicy, ale byli zaskoczeni, ponieważ ślady Meksykanów wiodły dalej. To, że z boku tworzyły łuk i zawracały, na to dzicy nie wpadli. Przejechali obok gromadki i zniknęli za dalszymi skałami.

Po kilku minutach usłyszano nowy tętent koni. Nadjeżdżali pozostali. Podążali bez obaw, ponieważ wiedzieli, że przed nimi znajdują się ich zwiadowcy. Gdy ostatni z nich pojawił się w wąwozie, Apacz wysunął swoją broń.

– Ognia! – zakomenderował Niemiec.

Rozbrzmiały strzały ze wszystkich strzelb, te Niemca i Apacza dwa razy, i jednocześnie tyle samo wrogów spadło z koni. Pozostali zatrzymali się na chwilę. Nie wiedzieli, czy mają uciekać czy łapać ukrytego nieprzyjaciela. Rozglądali się wokół i wreszcie dojrzeli na górze wzniesienia dymy pochodzące od spalonego prochu.

– *Nlate tki* – Tam są! – zawołał jeden, wskazując ręką w górę.

Chociaż przerwa była krótka, to niezdecydowanie dzikich pozwoliło białym na szybkie kolejne załadowanie broni. Ponownie padły strzały i podwoiła się liczba poległych. Teraz niewielu oszczędzonych nie miało innego wyboru, jak zawrócić gwałtownie konie i uciekać stamtąd pełnym galopem.

– Komancze są tchórzami! – stwierdził dumnie Apacz.

Zszedł powoli w dół ze swojego stanowiska, żeby zabrać skalpy czterech przez niego zastrzelonych wrogów. Inni podążali za



*Rozbrzmiały strzały ze wszystkich strzelb, te Niemca i Apacza dwa razy,
i jednocześnie tyle samo wrogów spadło z koni.*

nim, żeby zabrać broń i konie poległych. Po kwadransie postoju można było ruszyć dalej w drogę.

– No, teraz będziemy bezpieczni po wsze czasy – powiedziała Emma.

– Proszę w to nie wierzyć, *señora!* – odparł Helmers.

– Nie? Myślę, że lekcja, jaką im daliśmy, była wystarczająca!

– Właśnie dlatego obmyślą zemstę. Czy widzi pani, że Apacz spogląda tam, na lewo?

– Tak. Czego tam szuka?

– Tam prowadzą ślady dwóch zwiadowców, którzy również uciekli jak inni. Spotkają pozostałych i znowu pogonią za nami, by się dowiedzieć, gdzie jesteśmy i gdzie się zatrzymamy. Potem zawrócą i przyprowadzą wystarczającą ilość wojowników, żeby napaść na hacjendę.

– Och, hacjenda jest solidna. To mała twierdza.

– Znam te rodzaje dworców i folwarków. Są zbudowane z kamienia i zazwyczaj otoczone palisadami. Ale co to pomoże przeciw nieprzyjaciolom, którzy nadejdą niespodziewanie?

– Będziemy czuwali.

– Zróbcie to!

– Ale pan z nami. Jeszcze mam nadzieję, że zostanie pan naszym gościem!

– Muszę się dowiedzieć, co powie Niedźwiedzie Serce. Nie mogę się z nim rozstać.

– On też zostanie!

– On jest przyjacielem wolności. Nigdy nie wytrzyma przez dłuższy czas w jednym budynku.

– Och! – zaśmiała się. – Sądzę, że wytrzyma.

– Skąd to przypuszczenie?

– Ze spojrzeń jakie rzuca na Karję.

– Ha! Dobrze pani obserwuje to, co i ja zauważyłem. Ale jeśli się nie mylę, to Indianka kocha już hrabiego?

– Z pewnością. Niedźwiedzie Serce musi wytrwać, jeśli da się ponieść emocjom...

– Wytrwać? Ba! On jest zrobiony z żelaznej twardej materii. Nigdy nie będzie błagać o miłość, a także skomleć o śmierć z powodu nieodwzajemnionej przychylności.

– Zatem z jakiego materiału pan jest zrobiony? – przekomarzyła się.

– Może z tego samego.

– Więc pan również nie będzie biadolił?

– Nie.

– A ja jednak słyszałam, że Niemiec ma serce jak żaden inny, tak głębokie i tak delikatne. Posiada nawet serdeczne słowo jakie nie występuje w żadnych innych językach.

– Ma pani na myśli słowo „temperament”? Tak, tego słowa nie ma żadna inna narodowość. Niemiec sam ma temperament, ale jednocześnie ma charakter, a człowiek prerii nie będzie żebrał o miłość, bez względu na to, z jakiego ludu pochodzi.

– To jest dumne!

– Ale słuszne. Kobieta, którą pokocham, powinna mnie również szanować. Ale jak widzę, pozostaliśmy w tyle. Apacz się śpieszy, ponieważ skupia się przede wszystkim na znalezieniu bezpiecznego obozowiska, a tego przez nasze ociąganie się nie powinniśmy utrudniać.

Pędzili naprzód szybkim tempem aż dotarli do szerokiego cieku wodnego. Apacz jechał wzdłuż brzegu, aż rzeczka utworzyła łuk. Tam się zatrzymał.

– Na pewno tu? – zapytał Helmers.

Zapytany omiół badawczym spojrzeniem okolicę, a potem przytaknął skinieniem głowy.

– Tu jest dobrze – powiedział. – Z trzech stron chroni nas rzeczka, a czwartą możemy dobrze strzec. Zatem zsiadamy!

Wszyscy zeskoczyli z koni i urządzili obóz. W środku okręgu jaki w trzech czwartych tworzyła rzeka i przy jej brzegu

pozostawiono konie. Potem rozpalono ognisko, żeby towarzystwo się rozlokowało, a czwarta strona okręgu była zasłaniana przez krzaki, w których położyli się wartownicy.

Z gałęzi i listowia Helmers przygotował wygodne posłanie dla Emmy. Niedźwiedzie Serce zrobił to samo dla Indianki. Ze strony Apacza było to niezwykle rzadkie wyróżnienie, ponieważ żadnego dzikiego nie można zmusić do dokonania czynności, którą może wykonać kobieta lub dziewczyna.

Po szczegółowym omówieniu wydarzeń dnia, podczas których Apacz nie wypowiedział ani słowa, udano się na spoczynek. Zarządzono, że każdy ma trzymać wartę co trzy kwadransy. Niedźwiedzie Serce i Helmers wzięli ostatnią wartę, gdyż czas tuż przed świtem jest najbardziej niebezpieczny, ponieważ wtedy dzicy najchętniej dokonują ataków.

Noc jednak minęła bez jakichkolwiek zakłóceń, a rano wstano z nowymi siłami. Podczas dalszej drogi nie dostrzeżono ponownie Komanczów. Stopniowo gromadka wjeżdżała na bardziej cywilizowane tereny i po południu dojechano do celu.

Po pojęciem hacjenda rozumie się folwark, jednak te meksykańskie hacjendy bardzo często porównywane są z naszymi wielkimi dobrami szlacheckimi, ponieważ niekiedy należy do niej kompleks ziem wielkości niemieckiego księstwa.

Hacjenda del Erina była właśnie taką książęcą posiadłością. Potężny budynek zbudowany był z ciosanego kamienia i otoczony palisadą, która tworzyła silną ochronę przed rabunkowymi napadami. Wnętrze rezydencji, która przypominała zamek, było bogato wyposażone i wystarczająco przestronne, by pomieścić setki gości.

Dom otoczony był ogromnym ogrodem, w którym najwspanialsza tropikalna roślinność mieniła się w najjaśniejszych barwach i rozprzestrzeniała soczyste zapachy. Z jednej strony przytykał do niego gęsty pierwotny las, z drugiej rozległe pola

uprawne, a z dwóch pozostałych wielkie pastwiska, po których hasały stada bydła liczące wiele tysięcy zwierząt.

Właśnie gdy kawalkada przejeżdżała przez pastwiska, zbiegło się kilku *vaqueros*, wydając głośnie okrzyki radości, by powitać przybyszy. Ta radość jednak bardzo szybko zmieniła się w wybuch gniewu, gdy dowiedzieli się, że tak wielu ich towarzyszy zginęło z rąk Komanczów. Natychmiast też prosili, żeby zorganizować odwet na czerwonoskórych.

Majordomus pojechał przodem, przed kawalkadą, żeby zaanonsować przybycie gości. Dlatego, gdy jeźdźcy przybyli do *estancji*³⁵, stary Petro Arbellez stał już przed bramą, żeby powitać córkę i jej towarzyszy. Łzy radości stanęły mu w oczach, gdy zszedł ją z konia.

– Witaj, moje dziecko – powiedział. – Musiałś wiele wycierpieć podczas tej niebezpiecznej podróży, ponieważ przyjechałaś na koniu i wyglądasz na zmęczoną.

Emma objęła go, serdecznie ucałowała i odpowiedziała:

– Tak mój ojcze, byłam w niebezpieczeństwie, może większym niż zagrożenie życia.

– O Boże, w jakim? – zapytał, witając serdecznie również Indiankę.

– Zostaliśmy schwytani przez Komanczów.

– Święta Matko Boska! Czy oni są teraz nad Rio Pecos?

– Tak. Ci dwaj mężczyźni są naszymi wybawcami.

Wzięła za rękę Niemca oraz Apacza i przyprowadziła do ojca.

– Ten tutaj to *señor* Antonio Helmers z Niemiec, a ten to Shosh-in-liett, wódz Apaczów. Bez nich musiałabym zostać *squaw* Komanczów, a pozostałych zamęczyliby przy palu męczarni.

³⁵ *Estancia* – rodzaj gospodarstwa rolnego w północnej Argentynie, gdzie hoduje się zwierzęta opasowe i owce (ze względu na wełnę) oraz rośliny pastwne i zboża; typowa dla Argentyny forma hacjendy, odpowiednik północnoamerykańskiego rancza.



Wzięła za rękę Niemca oraz Apacza i przyprowadziła do ojca.

Staremu, zacnemu zarządcy już na samą myśl o tym wystąpił na czoło zimny pot.

– Mój Boże, jakie nieszczęście, a jednocześnie jednak jakie szczęście! Witajcie *señores*, z całego serca witajcie! Musicie mi wszystko opowiedzieć, a wtedy zobaczę jak mogę się wam odwdziaczyć. Wejdźcie, proszę, i bądźcie panami tego domu!

Było to najbardziej przyjazne i uprzejme przywitanie. W ogóle widok starszego człowieka sprawiał wrażenie uczciwości i zaności i od razu trzeba było go polubić.

Goście przeszli przez bramę w palisadzie, przekazali swoje konie kilku parobkom i weszli do budynku. Podczas gdy majordomus z *vaqueros* pozostali w holu, hacjendero³⁶ wprowadził dwóch pozostałych z damami do pokoju gościnnego, gdzie zajęli miejsca, podczas gdy Emma w ogólnych zarysach relacjonowała swoją przygodę.

– Mój Jezu! – biadolili hacjendero. – Ależ musiałyście cierpieć, moje dziewczyny! Jednak Bóg zesłał tych dwóch *señores*, aby was uratować. Jemu i im jestem wdzięczny. Co powie hrabia i Tecalto, gdy to usłyszą!

– Tecalto? – zapytała uradowana Indianka. – Czy mój brat, Bizonie Czoło, jest tutaj?

– Tak, przybył wczoraj.

– I hrabia też? – zapytała Emma.

– Tak, już tydzień temu.

– Który? Hrabia Ferdinando?

– Nie, hrabia Alfonzo. Ach, oto i on!

Drzwi od położonego obok pokoju otworzyły się i wszedł hrabia Alfonzo. Miał na sobie czerwony, jedwabny, perski szlafrok haftowany złotem, spodnie z delikatnego, białego francuskiego płótna, niebieskie aksamitne pantofle i turecki fez³⁷

³⁶ *Hacjendero* (hiszp.) – właściciel hacjendy.

³⁷ *Fez* – nakrycie głowy w kształcie ściętego stożka, noszone przez mężczyzn muzułmańskich.

na głowie. Roztaczał wokół siebie taki zapach, że można było sądzić, iż jest się w perfumerii. Pozostawione otwarte drzwi pozwoliły na rzucenie okiem do jadalni. Jej wyposażenie było bardziej niż wykwintne, wprost luksusowe, a serwetka, którą hrabia miał w ręku dawała do zrozumienia, że zajęty był delektowaniem się meksykańskimi smakołykami.

– Wymieniono moje imię – powiedział. – Ach, są piękne panie! Czy powrót był szczęśliwy, *señoritas*?

Na jego widok Indianka zaczerwieniła się, co nie umknęło bystremu wzrokowi Apacza. Emma za to pozostała zupełnie obojętna. Odpowiedziała zimno, chociaż uprzejmie:

– Jak pan widzi, hrabio! Niewiele brakowało, a szybko byśmy nie wrócili.

– Ach! Dlaczego? Nie sądzę przecież, że jakiś wypadek...

– A jednak był to wypadek, który się nam przydarzył. Otóż Komancze na chwilę wzięli nas do niewoli.

– Do stu piorunów! – zawołał. – Każę ich wychłostać!

– To nie będzie takie łatwe – odparła Emma drwiąco. – Poza tym przecież wymknęłyśmy się im. Tu są nasi wybawcy.

– Ach! – zawołał hrabia.

Cofnął się kilka kroków, założył binokle na nos, przyjrzał się obydwóm „wybawcom”, zrobił bardzo zaskoczona minę i zapytał:

– Kim są ci ludzie?

– Ten to *señor* Helmers z Niemiec, a drugi to Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów.

– Ach, Niemiec i Apacz! W istocie stanowią komplet. Kiedy *señores* odjeżdżają? Może zaraz?

– Panowie są moimi gośćmi i pozostaną tak długo, jak im się spodoba – powiedział hacjendero.

– Ależ Arbellez, co pan sobie myśli! – zawołał hrabia. – Proszę spojrzeć na tych ludzi. Ja i oni pod jednym dachem! Cuchną lasem i bagnem. Natychmiast bym wyjechał!

Hacjendero podniósł się. Jego oczy plonęły gniewem.

– Nie mogę Waszej Wielmożności zatrzymywać – powiedział. – Ci *señores* uratowali życie i szczęście mojego dziecka. Są u mnie bardzo mile widziani.

– Ach! Sprzeciwia mi się pan? – rzekł hrabia.

– Tak – odpowiedział twardo Arbellez.

– Czy wie pan, że jestem tu władcą?

– Tego nie wiem!

– Nie? – syknął Alfonzo. – Zatem kto jest tu panem?

– Pański ojciec, hrabia Ferdinando. Jest pan tutaj tylko jako gość. Poza tym nawet sam hrabia Ferdinando nie miałby głosu w tej sprawie. Jestem dożywotnim dzierżawcą. Nikt nie będzie mi rozkazywać, czy mam kogoś gościć czy nie!

– Cholera, to już przesada!

– Nie, przesadą jest pańska niegrzeczność i bezwzględność wobec moich gości. Jeśli panu ich zapach lasu i bagien nie jest przyjemny, czego w istocie w ogóle nie zauważam, to natomiast nie wiem, czy *señores* nie przeszkadza woń pańskich perfum, które dokładnie wyczuwam. Zaprowadzę moich gości do jadalni, a panu pozostawiam decyzję, czy chce pan jeść z nami czy nie.

Otworzył szerzej drzwi jadalni i z najbardziej uprzejmym ukłonem zaprosił obu gości do wejścia. Indianin stał jakby zupełnie nie zdradzał zainteresowania. Ani jedno spojrzenie jego oczu nie padło na hrabiego i wydawało się, jakby nie rozumiał ani słowa. Kroczył dumnie i bez słowa do jadalni. Helmers, przeciwnie, zwrócił się do hrabiego i zapytał:

– Czy pan jest hrabią Alfonzo de Rodriganda?

– Tak – odparł hrabia zaskoczony tym, że myśliwy waży się do niego zwracać.

– Ach! *Señor* Arbellez zapomniał nam pana przedstawić. Wyzywam pana na pojedynek. Co pan wybiera: szpady, pistolety czy strzelby?

– Chce się pan ze mną bić? – zapytał Alfonzo jeszcze bardziej zaskoczony niż wcześniej.

– Ma się rozumieć! Gdyby obraził mnie pan poza hacjendą, to ubiłbym pana jak głupiego młokosa, ale ponieważ znajdujemy się pod dachem mojego przyjaciela i gospodarza, to wezmę wzgląd na niego i obecność dam. Jednak słyszę, że w tym domu nie jest pan właściwie gospodarzem, więc proszę pana o wybór broni.

– Bić się? Z panem? Boże, kim ty jesteś? Myśliwym, jakimś włóczęgą! Pfuj!

– Zatem nie? Więc jest pan łotrem, tchórzem, podłym nędznikiem! Jeśli pan pozwoli, aby te przydomki do pana przyłgnęły, to będzie pan napiętnowany po wsze czasy! Proszę robić jak pan uważa!

Helmers poszedł za Apaczem. Hrabia stał zupełnie osłupiały.

– Arbellez, ścierpisz to? – zapytał po chwili hacjendera.

– Jeśli pan zdzierzy...! – odpowiedział ten. – Chodź Emma, chodź Karja! Nasze miejsce jest tam, przy honorowych ludziach.

– Ach, co za niegodziwość! Jeszcze ci odpłacę, Arbellez!

– Niech pan spróbuje!

Dzielny starzec wszedł do jadalni, a obie panie razem z nim. Gdy Emma mijiała hrabiego, rzuciła z pogardliwie wykrzywionymi ustami i błyszczącymi oczami:

– To było niegodziwe, to było nędzne!

Indianka szła za nią ze spuszczonego wzrokiem. Nie mogła się zdobyć na pogardzenie swego ukochanego, a jednak nie potrafiła spojrzeć mu w twarz. On został sam i nie wrócił do jadalni. Rzucił serwetkę na podłogę, zdeptał ją stopami i wycedził przez zęby:

– Zapłacisz za to i to szybko, szybko, szybko!

Po tej bezsilnej, gniewnej wypowiedzi poszedł do swoich pokoi.

Pozostali zajęli się lukullusowym³⁸ posiłkiem. Były tam wielkie plasty arbuza z cielistym mięszem w środku, którego pyszny sok

³⁸ *Lukullusowa* – od nazwiska *Lukullus* (Lucius Licinius Lucullus, ok. 110-56 p.n.e.), rzymskiego wodza, słynącego z bogactw, wystawnego życia (tzw. uczyty *Lukullusa*) i kolekcjonerstwa.

splywał różowymi kroplami po srebrnych talerzach; półotwarte granaty, owoce kaktusa saquaro³⁹, pomarańcze, słodkie limonki, marakuje⁴⁰ i wszelkie dania mięsne i wypieki, w które kuchnia meksykańska jest tak bogata. Podczas posiłku omówiono wydarzenia w sposób bardziej szczegółowy, niż było to wcześniej możliwe. Następnie hacjendero poprosił o pozwolenie odprowadzenia *señores* do ich pokoi.

Obaj przyjaciele zamieszkali obok siebie. Niemiec nie mógł długo wytrzymać w ciasnym pokoju; opuścił go i przechadzał się po ogrodzie, upajając się zapachami, aż wyszedł na otwartą przestrzeń, by oglądać wspaniałe meksykańskie wierzchowce na pastwisku.

Podczas gdy tak podążał wzdłuż palisady i skręcał za róg, nagle wyrosła przed nim jakaś postać, której zdumiewająca powierzchność sprawiła, że się zatrzymał. Wysoki, silny mężczyzna cały był ubrany w niewygarbowaną skórę bizona tak, jak zwykli nosić się *ciboleros*. Jednak na jego głowie spoczywała górna część niedźwiedziej czaszki, z której prawie do ziemi zwisały paski futra. Zza szerokiego skórzanego pasa wystawały rękojeści noży i innych narzędzi. Od prawego ramienia do lewego biodra miał owinięte wokół ciała pięciokrotnie plecione lasso, a o palisadę opierała się jedna z tych starych, wykonanych z kutego żelaza strzelb, jakie produkowano w Kentucky sto lat temu⁴¹, a których zwykły człowiek nie byłby w stanie unieść, są tak ciężkie.

³⁹ *Saguaro* (karnegia olbrzymia, *Carnegiea gigantea*) – gatunek sukulentu z rodziny kaktusowatych, jedyny przedstawiciel monotypowego rodzaju *Carnegiea*; występuje w USA (Arizona, Kalifornia) i Meksyku (Sonora), jest symbolem stanu Arizona; wys. do 16 m, owoce czerwone, jadalne, dojrzewają jesienią.

⁴⁰ *Marakuje* – jadalne owoce (duże, do 10 cm) męczennicy jadalnej (*Passiflora edulis*), pnącza z rodziny męczennicowatych o długość do 15 m.

⁴¹ *Strzelba z Kentucky* (sztucer z Kentucky, sztucer pensylwański) – skalkowa broń myśliwska, stosowana przez pionierów i traperów u schyłku XVIII wieku; charakteryzowała się małym kalibrem (najczęściej 0,44 cala, czasem jeszcze mniej)

– Kim jesteś? – zapytał Helmers po chwili zdziwienia.
– Jestem Bizonie Czoło, Indianin – odpowiedział zapytany.
– Jesteś Tecalto? Mokashi-motak, *cibolero*?
– Tak. Znasz mnie?
– Nigdy cię nie widziałem, ale dużo, bardzo dużo o tobie słyszałem.

– A kim ty jesteś? – zapytał przybysz.
– Nazywam się Helmers. Jestem Niemcem.

Surowe oblicze Indianina rozjaśniło się. Miał może dwadzieścia pięć lat i według indiańskich wzorców mógł uchodzić za pięknego.

– Więc ty jesteś myśliwcem, który uwolnił moją siostrę Karję?
– Pomógł mi w tym przypadek.

– Nie, to nie był przypadek. Złapałeś konie Komanczów i na nich jechałeś. Bizonie Czoło jest ci bardzo wdzięczny. Jesteś tak odważny jak Matava-se, Księżę Skał, który również jest Niemcem.

– Znasz Niemców?

– Znam kilku. Przez Amerykanów nazywani są Holendrami. Są silni i dobrzy, odważni, mądrzy, szczerzy i wierni. Słyszałem o jednym z nich, którego Apacze i Komancze nazywają Itinti-ka, czyli Grzmiąca Strzała.

– Jeszcze go nie widziałeś? – zapytał Niemiec.

– Nazywa się Grzmiąca Strzała, ponieważ jest szybki i pewny jak strzała oraz potężny i mocny jak grzmot. Jego strzelba nigdy nie chybia celu, a jego oko rozpoznaje każdy ślad. Dużo o nim słyszałem. Dotychczas go nie spotkałem, ale dzisiaj go widzę.

– Gdzie? – zapytał zaskoczony Helmers.

oraz gwintowaną, długą lufą; całkowita długość sztucera mogła przekraczać 1,5 m; sztucery z Kentucky osiągały fantastyczną celność, oczywiście jak na tamte czasy; kolby wykonywano z dobrego jakościowo drewna, często zdobiąc je wspaniałymi okuciami.

– Tutaj. Ty nim jesteś!

– Ja? Po czym mnie rozpoznałeś?

– Po twoim policzku. Grzmiąca Strzała dostał nożem Bowie'ego w policzek, to wie każdy, który o nim choć raz słyszał. Takie znaki rozpoznawcze daje się zauważyć. Dobrze zgadłem, czyż nie?

Helmers potwierdził skinieniem głową.

– Masz rację. W istocie zwą mnie Itinti-ka, Grzmiąca Strzała.

– Zatem dziękuję Wahkonta⁴², że pozwolił mi rozmawiać z tobą. Jesteś dzielny mężem. Podaj mi rękę i bądź moim bratem!

Podali sobie ręce, a Helmers powiedział:

– Tak długo jak nasze oczy dostrzegają się nawzajem, ma trwać przyjaźń między mną a tobą!

Indianin dodał do tego:

– Moja dłoń niech będzie twoją dłonią, a moja stopa twoją stopą. Biada twoim wrogom, gdyż są również moimi i biada moim wrogom, bo są także twoimi. Jestem tobą, a ty mną, jesteśmy jedno!

Potem objęli się.

Bizonie Czolo nie był Indianinem z rodzaju północnych czerwonoskórych. Był rozmowny i otwarty, a mimo to chyba jednak nie mniej straszny, jak niejeden z owych milczących dzikich, którzy wypowiedanie słowami uczuć serca tak jak kobieta poczytują za hańbę.

– Mieszkasz w hacjendzie? – zapytał Helmers.

– Nie. Kto lubi żyć i spać w powietrzu, które uwięzione jest między ścianami. Tu mieszkam – odparł Bizonie Czolo i wskazał na kawałek darni, na której stał.

⁴² *Wahkonta* (właśc. Wacondah lub „Kapitan Nieba”) – to forma używana m.in. przez Apaczów do określenia Boga; rdzenni Amerykanie czczą jedynego Boga Stwórcę pod imieniem Wielkiego Ducha, którego imię ulega zmianie w zależności od konkretnego plemiennego języka.



– Zatem dziękuję Wahkonta, że pozwolił mi rozmawiać z tobą.
Jesteś dzielnym mężem. Podaj mi rękę i bądź moim bratem!

– To masz najlepsze obozowisko w całej *estancji*. Ja także nie mogłem wytrzymać w izbie.

– Również Niedźwiedzie Serce, twój przyjaciel, oglądał pastwisko.

– On tu jest?

– Tak. Już z nim rozmawiałem i podziękowałem mu. Zostaliśmy braćmi jak ja i ty.

– Gdzie jest?

– Siedzi tam przy *vaqueros*, którzy opowiadają o napadzie Komanczów.

– To chodźmy do nich!

Indianin chwycił ciężką strzelbę, zarzucił na ramię i poprowadził Niemca.

Daleko na pastwisku, pośrodku między półdzikimi, pasącymi się grupami koni, siedzieli na ziemi nieokrzesani *vaqueros* i opowiadali o przygodach ich młodej pani, o których wieść bardzo szybko się rozniosła. Niedźwiedzie Serce siedział przy nich, milcząc. Nie dodał do tego ani słowa, chociaż mógłby wszystko opowiedzieć lepiej i prawdziwiej. Teraz dwaj inni podeszli i dosiedli się do pozostałych, którym to nie przeszkodziło, chociaż teraz do szedł jeszcze drugi bohater opowieści. Ten niekiedy wtrącił słowo i tak pomału toczyła się owa fascynująca opowieść, jaką można usłyszeć tylko w obozowisku na pustkowiu.

Wtedy w rozmowę wdarło się wściekle parskanie i charczenie.

– Co to jest? – zapytał Helmers, który szybko odwrócił się na ten hałas.

– To kary ogier – odpowiedział jeden z *vaqueros*.

– Co z nim?

– Musi być głodzony, gdy nie słucha.

– Głodzony? Dlaczego?

– Nie daje się dosiąść.

– Phi!

– Phi? *Señor*, proszę tak nie wątpić! Włożyliśmy w niego cały wysiłek. Już trzy razy trzymaliśmy go w *corralu*⁴³, by go poskromić, ale zawsze musieliśmy go puścić wolno. To jest diabeł! Wszyscy jesteśmy jeźdźcami, proszę wierzyć, ale zrzucił każdego, oprócz jednego!

– Kogóż takiego?

– Bizonie Czoło, wodza Misteków. On jeden nie został zrzucony, ale jednak i on go nie pokonał.

– Niemożliwe! Kto nie został zrzucony, ten musi być przecież zwycięzcą!

– Też tak myśleliśmy, ale diabelski kary ogier pobiegł z nim do wody, żeby z nim zanurkować, a gdy to nie poskutkowało, zaniósł go do gęstego lasu i po prostu go tam z siebie strącił.

– Do stu piorunów! – zawołał Helmers.

– Tak – przytaknął Bizonie Czoło. – To jest wstyd, ale to prawda, a mogę się pochwalić, że już zajeździłem na śmierć kilka koni, które nie chciały mnie słuchać.

Vaquero kontynuował:

– Było wielu słynnych jeźdźców i myśliwych tu w *estancji*, chcących spróbować swoich sił i zręczności, ale zawsze poddawali się. Wszyscy mówią, że jest tylko jeden, który może pokonać ogiera.

– Kto ma nim być?

– Jest obcy myśliwy, który tam, nad Red River, nawet na diabła pojechałby do piekła. Ten człowiek wjechał w środek tabunu dzikich koni i leb w leb gnał ze zwierzętami, żeby wydobyć najlepszego.

Helmers zaśmiał się rozbawiony i zapytał:

– Czy on ma jakieś imię?

⁴³ *Corral* (hiszp. zagroda) – określenie ogrodzonych wybiegów dla koni, owiec i bydła.

– To się rozumie!

– Jakie?

– Jak on się dokładnie nazywa tego nie wiem, ale czerwonoskórzy nazywają go Itinti-ka, Grzmiąca Strzała. Jest wielu myśliwych, którzy przybyli z północy i o nim opowiadali.

Helmers nie dał po sobie poznać, że mowa jest o nim, również Niedźwiedzemu Sercu i Bizoniemu Czołu nie drgnęły mięśnie twarzy, jednak Indianin zapytał:

– Gdzie jest ten koń?

– Leży tam za ową gromadą.

– Związany?

– Oczywiście.

– Do wszystkich diabłów, to niesprawiedliwe!

– Ba! *Señor* Arbellez wysoko sobie ceni swoje konie, ale tym razem przysiągł sobie, że koń ma być posłuszny, albo zostanie zagłodzony.

– Zatem związaliście mu również pysk?

– Rozumie się!

– Pokażcie mi go!

– Zatem chodź, *señor*!

Gdy właśnie podnosili się z ziemi, zobaczyli starego Arbelleza jadącego ze swoją córką i Karją u boku. Była to zwykła przejazdka inspekcyjna, którą odbywał każdego wieczora. *Vaqueros* nie zwrócili na to uwagi i zaprowadzili Helmersa do ogiera.

Ten leżał na ziemi ze związanymi czterema nogami i kagańcem na pysku. Oczy zaszyły mu krwią od złości i wysiłku, każda jedna żyła nabrzmiała do rozpuku, a przez kaganiec dużymi gronami ściekała piana.

– Do wszystkich diabłów, to przecież jawny grzech! – zawołał Helmers.

– Proszę to zrobić inaczej, *señor* – powiedział zimno *vaquero*, wzruszając ramionami.

– To jest znęcanie się nad zwierzęciem! Na to nie wolno pozwalać! W ten sposób zniszczy się najszlachetniejszego konia!

Powiedział to w dużym wzburzeniu. Wtedy nadjechał Arbellez z dziewczętami.

– Co się dzieje, *señor* Helmers, że tak się pan zdenerwował?

– Zabija pan tego ogiera! – odpowie dźwiękiem Niemiec.

– Tego właśnie chcę, jeśli nie zacznie słuchać!

– Nauczy się słuchać, ale nie tak.

– Próbowaliśmy wszystkiego, ale na próżno.

– Dajcie mu porządnego jeźdźca na grzbiet!

– To nic nie pomaga!

– Phi! Wolno mi spróbować, *señor*?

– Nie.

Helmers spojrział na niego zdumiony.

– Dlaczego nie? – zapytał.

– Gdyż pańskie życie jest mi zbyt drogie.

– Phi! Wolę umrzeć, niż mam dłużej na to patrzeć. Porządny jeździec nie zniesie tego. Więc co, wolno mi dosiąść karego? Proszę, *señor*!

Wtedy Emma podjechała do ojca.

– Ojczy, nie pozwól mu! – prosiła zatrwożona. – Ten kary jest niebezpieczny.

Niemiec spojrział na nią z radosnym uśmiechem na twarzy. Ta jej obawa była przecież dowodem, że nie jest jej obojętny. Jednakże zapytał bardzo poważnie:

– *Señora*, nie lubi mnie pani?

– Nie lubię? Mój Boże, dlaczego miałabym nie lubić?

– Albo może pani mną pogardza?

– Tym bardziej nie!

– Więc dlaczego mnie pani w ten sposób obraża? Tylko młokos podejmuje się tego, czego nie może wykonać. Powiadam pani, że zupełnie nie boję się tego czarnego.

– Nie zna pan tego zwierzęcia, *señor* – ostrzegł Arbellez. – Było tu wielu, którzy stwierdzili, że tylko Itinti-ka, Grzmiąca Strzała potrafi go poskromić.

– Zna pan tego Itinti-ka?

– Nie, ale on jest najlepszym *rastreadorem* i jeźdźcem, jaki żyje pomiędzy dwoma morzami.

– A jednak proszę o tego ogiera!

– Ostrzegam pana!

– Pozostaję przy mojej prośbie!

– Zatem dobrze, muszę panu pozwolić, ponieważ jest pan moim gościem, ale nie odpowiadam za konsekwencje. Proszę się potem na mnie nie gniewać!

Wtedy Emma szybko zsiadła z konia i podeszła do Helmersa.

– *Señor* Helmers – prosiła, chwytając jego rękę – zechce pan zaniechać tego konia ze względu na mnie? Tak bardzo się boję!

Jego twarz rozjaśniła się z zachwytu, a jego wzrok spotkał się z jej rozpalonym spojrzeniem.

– *Señora* – powiedział – proszę szczerze powiedzieć: czy to honor czy wstyd dla mnie jeśli najpierw twierdzę, że się nie boję, a potem jednak wycofam się?

Spuściła głowę. Zrozumiała, że on ma rację, że nie może się cofnąć przed innymi, którzy wszyscy byli dobrymi jeźdźcami. Dlatego zapytała speszona:

– Naprawdę chce pan zaryzykować?

– Och, *señora* Emma, dla mnie to żadne ryzyko!

Spojrzał przy tym na nią z taką szczerą, radosną ufnością w oczach, że się cofnęła i uwierzyła w możliwość powodzenia.

– Dalej, zatem naprzód!

Z tymi słowami podszedł do ogiera. Odprawił *vaqueros*, którzy chcieli mu pomóc przy zdejmowaniu więzów. Zwierzę w dalszym ciągu tarzało się po ziemi, ciągle parszcząc i rżąc. Zdjął mu

kaganiec i wyciągnął nóż. Tylko koniec starego lassa był uwiązany wokół pyska konia. Helmers wziął ten rzemień w lewą rękę, szybko przeciął nożem więzy najpierw na tylnych, potem również na przednich nogach i gdy kary się podnosił, siedział już na grzbiecie jak przyrośnięty.

Teraz zaczęła się walka pomiędzy jeźdźcem a koniem, jakiej żaden z ostrożnie cofających się widzów jeszcze nie widział. Ogier stawał dęba raz na przednich, raz na tylnych nogach, napierał na boki, kopał i gryzł, upadał na ziemię, tarzał się, ponownie wyskakiwał w górę – a jeździec zawsze pozostawał na nim. Początkowo była to walka pomiędzy inteligencją człowieka a krnąbrnością dzikiego zwierzęcia, lecz później stała się tylko walką ludzkich mięśni przeciwko zwierzęcej sile. Koń dosłownie okrywał się pianą, nie parskał, tylko sapał i jęczał. Wytężał resztki swej woli, ale żelazny uchwyt jeźdźca nie ustąpił. Ścisnął konia stalowym uściskiem ud tak, że temu groziła utrata oddechu, a teraz wyskoczył po raz ostatni wszystkimi czterema nogami w powietrze, następnie wystrzelił jak z procy przez krzaki i kamienie, przez rowy i zarośla tak, że już po upływie pół minuty więcej nie widziano go wraz z jeźdźcem.

– Do stu piorunów, czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałem! – przyznał stary Arbellez.

– Złamię kark! – powiedział jeden z *vaqueros*.

– Właśnie, że nie – odezwał się inny. – Zwyciężył.

– Och, jakże się bałam! – stwierdziła Emma. – Jednak naprawdę wierzę, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Czyż nie, ojczu?

– Bądź spokojna! Kto tak mocno siedzi i okazuje taką siłę, ten na pewno nie spadnie. Było dokładnie tak, jakby diabeł walczył przeciw diablui! Sądzę, że ten Itinti-ka nie zrobiłby tego lepiej!

Wtedy podszedł Bizonie Czoło i powiedział:

– Nie, *señor*, nie może zrobić tego lepiej, lecz dokładnie tak samo!



Teraz zaczęła się walka pomiędzy jeźdźcem a koniem, jakiej żaden z ostrożnie cofających się widzów jeszcze nie widział.

- Jak to? Nie rozumiem.
– Ten *señor* Helmers to właśnie Itinti-ka, Grzmiąca Strzała.
– Co? – zawołał Arbellez. – On? Grzmiąca Strzała?
– Tak. Zapytaj wodza Apaczów!

Arbellez skierował pytające spojrzenie ku Indianinowi.

– Tak, to on – powiedział ten po prostu.

– Och, gdybym to wiedział, to nie wyrażałbym żadnych takich obaw – wyjaśnił hacjendero. – Zdawało mi się, jakbym ja sam siedział na zwierzęciu.

Emma w milczeniu spoglądała przed siebie, ale w jej oczach płonęło radosne wewnętrzne światło. On miał rację. Nie mógł się wycofać. Straciłby swój honor, a teraz wiedziała, że jest jeszcze większym bohaterem niż dotychczas myślała.

Wszyscy stali pełni oczekiwania i nikt nie ruszył się z miejsca. Tak minął jakiś kwadrans, kiedy jeździec wrócił. Kary ogier był tak zmęczony, że prawie padał, ale jeździec siedział uśmiechnięty się i żwawy na jego grzbiecie. Emma wyjechała mu naprzeciw.

– *Señor*, dziękuję panu! – powiedziała.

Inny zapytałby: „Za co?”. On jednak ją zrozumiał i uśmiechnął się do niej szczęśliwy.

– Cóż, *señor* Arbellez, czy naprawdę musi tu być ten Itinti-ka? – zapytał.

– Naturalnie!

– Cóż, sądzę, że możemy się bez niego obejść, ponieważ po-
trafię to samo.

– Bowiem pan sam nim jest.

– Ach, więc moja tajemnica została zdradzona! – zaśmiał się.

– I incognito księcia sawanny skończone! – dodała Emma.

Ze wszystkich stron rozbrzmiały słowa podziwu. On jednak bronił się prze nimi i powiedział:

– Jeszcze nie jestem gotowy. Czy mogę towarzyszyć panu w przejażdżce, *señor* Arbellez?

– Czy koń nie jest zbyt zmęczony, czy wytrzyma?

– Musi. Ja tak chcę!

– Dobrze, zatem ruszamy!

Jechali teraz przez rozległe przestrzenie, gdzie pasły się konie, bydło, muły, owce i kozy, a potem wrócili do domu. Kary ogier został uwiązany. Gdy Karja, Indianka, szła do swego pokoju i przechodziła obok drzwi hrabiego, te się otworzyły i w tej chwili wyszedł hrabia Alfonzo.

– Karja, mogę z tobą dzisiaj porozmawiać? – zapytał.

– Kiedy?

– Dwie godziny przed północą.

– Gdzie?

– Przy strumieniu pod drzewami oliwnymi.

– Przyjdę!

Gdy nastał wieczór, wszyscy zgromadzili się w jadalni, gdzie na stół wniesiono obfite dania. Byli tam również obaj indiańscy wodzowie, jednakże hrabia nie pokazał się. Przemknął już w kierunku drzew oliwnych, w pobliżu których woda tak poufale szemrała i gawędziła. Gdy nadszedł umówiony czas, przyszła Indianka. Objął ją i przyciągnął do siebie. Była bardziej milcząca niż to się działo do tej pory.

– Co jest, moja słodka? – zapytał. – Już mnie nie kochasz?

– Ależ tak, chociaż nie powinnam cię dłużej kochać – odpowiedziała.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ nie ucieszyleś się, że zostałam uratowana.

– Ach! Skąd ci to przyszło do głowy?

– Czy w przeciwnym razie obrażałbyś moich wybawców?

– Należą do pastwisk, a nie do *estancji*.

Pokręciła swoją piękną głową.

– Nie jesteś szlachetny, Alfonzo.

– Och, jestem, ale nienawidzę wszelkiej brzydoty.

- Czy Grzmiąca Strzała jest brzydki?
 - Grzmiąca Strzała? Ten słynny jeździec i *rastreador*? Tego przecież jeszcze wcale nie widziałem!
 - Widziałeś go. To jest Helmers.
 - Cholera! Teraz rozumiem jego wyzwanie!
 - Będziesz się z nim bił?
 - Ani mi się śni! Nie jest mi równy! Kochała go i bała się o niego, dlatego powiedziała:
 - Masz rację.
 - Rację? Dlaczego?
 - Byłbyś zgubiony.
- Nie jest przyjemnym dla mężczyzny usłyszeć od ukochanej, że ona innego uważa za silniejszego i odważniejszego, dlatego odparł:
- Mylisz się. Widziałeś kiedyś jak strzelam?
 - Nie.
 - Albo fechtuję?
 - Nie.
 - Zatem nie możesz wydawać wyroku. Rycerz, hrabia, musi w takich rzeczach przewyższać każdego myśliwego. Poznasz mnie naprawdę dopiero wówczas, gdy staniesz się moją żoną.
 - O, to się nigdy nie stanie!
 - Dlaczego wątpisz?
 - Tak przeczuwam.
 - Więc nie wierzysz wszystkim moim zapewnieniom i przysięgom?
 - Och, Alfonzo, tak chciałabym wierzyć! Kocham cię i bylibyśmy szczęśliwi.
 - Będziemy, ale czy wcześniej czy później, to zależy od ciebie, moje słodkie serce.
 - Jak bardzo?
 - Nie znasz warunku, który ci powiedziałem?

– Jest bardzo ciężki!
– Nie, jest łatwy do spełnienia.
– Wymaga, żebym złamała przysięgę i stała się zdrajczynią
mojego ludu.

– Przysięga cię nie wiąże, ponieważ złożyłaś ją jako dziecko, a twój lud nie jest już ludem. Jeśli mnie kochasz i chcesz być moja, to tylko mój lud jest twoim. Przybyłem teraz do hacjendy del Erina, by zdobyć pewność. Jeśli tym razem również będę musiał wyjechać bez ciebie, pojedę do Hiszpanii i rozstaniemy się na zawsze.

– Jesteś okrutny.

– Nie, jestem po prostu ostrożny. Serce, które nie jest zdolne do żadnych ofiar, nie może naprawdę kochać.

– Och! – zawołała, obejmując go. – Nieskończenie cię kocham! Uwierz mi!

– Udowodnij mi to!

– Czy to naprawdę musi się stać?

– Tak. Potrzebujemy skarbu z królewskiej jaskini, by ojczyźnie dać nowego władcę. Pierwszym czynem tego władcy będzie wyniesienie cię do stanu szlacheckiego, żebyś mogła stać się hrabiną de Rodriganda.

– To naprawdę się stanie?

– Przysięgam ci to po raz tysięczny!

– I nigdy nie zdradzisz mojemu bratu, że to ja byłem tą, która podzieliła się z tobą tajemnicą?

– Nigdy. Nawet nie dowie się, kto zabrał skarby.

Alfonzo czuł, że Indianka ustępuje i jego pierś nabrzmiała z zachwyty. Tylko zwodził ją miłością, aby wyludzić tajemnicę. Obiecałby jej teraz wszystko, dosłownie wszystko, żeby zachęcić ją do mówienia.

– No dobrze, powinieneś się dowiedzieć, gdzie znajduje się królewski skarb.

– Ach, wreszcie! – uradował się.

– Jednak tylko pod jednym warunkiem.

– Wyjaw go!

– Dowiesz się w dniu naszych zaręczyn.

– To nie wchodzi w rachubę – powiedział rozczarowany.

– Dlaczego Alfonzo?

– Otrzymasz szlachectwo dopiero po znalezieniu skarbu, a zgodnie z prawem kraju nasze zaręczyny nie mogą się odbyć wcześniej.

– Czy to faktycznie prawda? – zapytała.

Objął ją, przyciągnął do siebie i pocałował czule w nabrzmiałe wargi.

– Tak jest, wierzysz mi przecież, moja kochana, droga Karjo. Przecież wiesz, że ja bez ciebie nie potrafię żyć! Jesteś wprawdzie dzieckiem księcia, ale to nie jest według prawa hiszpańskiego uznawane za szlachectwo. Dla mojego serca jesteś droga i równa, ale dla świata jest inaczej. Czy nie możesz mi zaufać, moja miłości?

– Tak, powinieneś się dowiedzieć – powiedziała, ponieważ pod wpływem jego czułości topniał jej opór. – Ale jednak wypełnisz jeden mały warunek?

– Jaki? Mów, moje życie!

– Daj mi najpierw pismo, w którym oświadczysz, że po przekazaniu skarbu mam zostać twoją żoną.

Ten warunek był dla niego jak najbardziej fatalny, ale czy teraz, gdy był tak blisko celu, miałby zwlekać z powodu takiej dziecinady? Nie. Ta Indianka nie była osobą, która mogłaby z powodu kilku napisanych słów ścigać go prawnie, dlatego ochoczo odpowiedział:

– Chętnie, bardzo chętnie, moja Karjo! Zrobię tylko to, czego sam pragnę całym sercem. Zatem powiedz, gdzie jest skarb?



Objął ją, przyciągnął do siebie i pocałował czule w nabrzmiąle wargi.

- Najpierw pismo, kochany Alfonso!
- Ach tak! Ale ono nie jest jeszcze gotowe!
- Zatem zaczekamy.
- Jak długo?
- Jak ci się spodoba.
- Dobrze! Przygotuję je na jutro w południe.
- I z twoją pieczęcią u dołu!
- Tak jest! – odparł, chociaż nie było mu to na rękę.
- Zatem wieczorem opiszę ci to miejsce.
- Dlaczego dopiero wieczorem?
- Jeszcze wcześniej?
- Tak. Pismo będzie przecież gotowe w południe. Czy nie mogę ci go przynieść?
- Nie. W każdej chwili mogę oczekiwać, że przyjdzie do mnie Emma albo jedna ze służących. Mogą nas bardzo łatwo zaskoczyć.
- To przyjdź do mnie.
- Ja do ciebie? – zapytała z wahaniem.
- Obawiasz się?
- Nie. Przyjdę.
- Mogę na tym polegać?
- Tak, z pewnością!

Potem ponownie przyciągnął ją do siebie i pocałował, chociaż ta czułość kosztowała go nieco wysiłku. Wprawdzie jego serce było obszerne, ale Indianka nie była w jego guście. Kochał – przynajmniej na razie – inną, a tą inną była Emma Arbellez, dla której tak często przyjeżdżał z Meksyku⁴⁴ do hacjendy, Emma Arbellez, która jednak odrzucała go tak zimno i szorstko, i która nawet dzisiaj dała mu odczuć swoją pogardę w tak jasnych słowach.

Podczas gdy ci dwoje siedzieli pod drzewami oliwnymi, Helmers odprowadził wodza Tecalto do jego obozu w trawach

⁴⁴ Meksyk (hiszp. Ciudad de México) – tu: stolica i dystrykt federalny Meksyku, położona na wyżynie leżącej w środkowej części kraju.

pastwiska. Od dłuższego czasu był przyzwyczajony do swobody podczas nocy i chciał jeszcze napelnić płuca świeżym powietrzem przed pójściem spać do pokoju. Dlatego pożegnawszy wodza nie wrócił do hacjendy, lecz poszedł do ogrodu kwiatowego, gdzie przysiadł na brzegu sztucznego basenu, z którego fontanny wystrzeliwały życiodajne strumienie wody.

Nie siedział tu jeszcze zbyt długo, gdy usłyszał ciche stąpanie. Chwilę później powolnym krokiem nadeszła kobieca postać i skierowała do fontanny. Rozpoznał Emmę i podniósł się, żeby nie zostać uznanym za podsłuchiacza. Zauważyła go i zawahała się, czy iść dalej.

– *Señorita*, proszę bez obaw podejść bliżej – powiedział. – Natychmiast się oddalę, aby pani nie przeszkadzać.

– Ach, to pan, *señor* Helmers. Sądziłam, że to ktoś inny i pomyślałam, że już udał się pan na spoczynek.

– Pokój nie jest dla mnie wygodny i jest przytłaczający. Dopiero trzeba się do tego przyzwyczać.

– Czułam się tak samo, dlatego najpierw przyszedłam jeszcze do ogrodu.

– Zatem proszę rozkoszować się niezakłóconym spokojem nocy. Dobranoc, *señorita*!

Chciał odejść, ale ona ujęła go za rękę, chcąc go zatrzymać.

– Proszę pozostać, jeśli ma pan taką potrzebę – powiedziała. – Nasz Bóg ma powietrze i zapach i gwiazdy w wystarczającej ilości dla nas obojga. Pan mi nie przeszkadza.

Posłuchał i usiadł obok niej na brzegu basenu.

Tymczasem wódz Misteka usiadł ciężko przy palisadzie ogrodu. Spoglądał rozmarzony w niebo i pozwolił swojej wyobraźni wznieść się do owych wiecznych światów, gdzie krążą słońca, które czczone były przez jego przodków. Przy tym jednak jego zmysł odnotowywał każdy najmniejszy ruch w jego otoczeniu.

Wtedy wydało mu się, jakby w ogrodzie kwiatowym słyszał ciche kroki, a potem również stłumione głosy. Wiedział, że hrabia starał się najczęściej jak to możliwe znajdować się w pobliżu jego siostry i wiedział również, że ona nie stawiała oporu staraniom hrabiego. Obudziła się w nim podejrzliwość. Ani hrabiego, ani Karji już od godziny nie widziano w hacjendzie. Czy mieli umówione spotkanie w ogrodzie? Musiał się tego dowiedzieć; było to konieczne dla niego i dla niej.

Podniósł się więc i przeskoczył z naturalną indiańską lekkością przez palisadę do ogrodu. Tam położył się na ziemi i podczołgał się bliżej tak bez głośnie, że nawet wyćwiczone ucho Niemca, który teraz był w bezpiecznym miejscu, nic nie usłyszało. Podszedł niezauważenie z drugiej strony basenu i mógł teraz zrozumieć każde słowo rozmowy.

– *Señor*, właściwie powinnam się na pana gniewać! – mówiła właśnie Emma.

– Dlaczego?

– Ponieważ przyprawił mnie pan o tak ogromny niepokój.

– Z powodu konia?

– Tak.

– Niepotrzebnie się pani martwiła, gdyż poskramiałem o wiele gorsze konie. Kary jest teraz tak posłuszny, że każda kobieta może bez obaw go dosiąść.

– Przebieg zdarzenia miał jednak swoją dobrą stronę.

– Jaka?

– Porzucił pan swoje *incognito*, próżny człowieku!

– Och! – zaśmiał się. – Nie była to właściwie próżność. Czasami trzeba być ostrożnym. Właśnie dlatego, że traktuje się mnie jak zwykłego i niedoświadczonego myśliwca, często zdobywam największą przewagę.

– Ale przynajmniej mnie mógł pan powiedzieć. Powierzył mi pan przecież już o wiele większą tajemnicę.

– Tajemnicę, która chyba dla mnie nigdy będzie miała wartości. Nigdy nie odkryję jaskini z królewskim skarbem, chociaż musi się znajdować tu w pobliżu.

– Ach, z czego pan to wnioskuje?

– Z ukształtowania gór i biegu wód. Okolica, która ostatnio przejeżdżaliśmy, zgadza się dość dokładnie z częścią mojej mapy.

– Znalazł więc pan punkt odniesienia i może szukać dalej!

– Zastanawiam się jeszcze, czy to zrobię.

– Dlaczego?

– Ponieważ wątpię, żebym miał do tego prawo.

– W każdym razie miałby pan prawo znalazcy. W żadnym przypadku nie przeceniam złota, ale wiem też, że jego posiadanie daje wiele rzeczy, o które na próżno zabiegają nawet tysiące ludzi. Proszę szukać, *señor*! Uradowałoby mnie, gdyby pan znalazł ten skarb!

– Tak, moc złota jest wielka – powiedział w zamyśleniu – a mam w ojczyźnie biednego brata, któremu pewnie mogłoby przynieść szczęście. Ale do kogo należy ten skarb? Zapewne do potomka tych, którzy go ukryli.

– Nie wie pan od kogo pochodzi ta mapa?

– Od myśliwego, jak już pani mówiłem. Był ranny i umarł, zanim przekazał mi ustnie niezbędne wskazówki.

– I nie ma na niej żadnej nazwy?

– Nie. W jednym rogu znajduje się jakiś zagadkowy znak, którego nie potrafię wyjaśnić. Tak, wezmę się za to, będę szukał, lecz gdy rzeczywiście znajdę ten skarb, to go nie tknę, tylko poszukam jego prawnych właścicieli. Jeśli nie uda się ich znaleźć, to zawsze będzie czas, żeby coś postanowić.

– *Señor*, jest pan honorowym człowiekiem! – powiedziała ciepło Meksykanka.

– Robię tylko to, co muszę i unikam wszelkiego bezprawia.

– Więc pański brat jest biedny?

– Tak. Jest żeglarzem, który chyba nigdy nie osiągnie niezależności, tak długo jak będzie zdany tylko na własne siły. Sam posiadam pewną małą sumę, którą odłożyłem z moich myśliwskich wypraw.

– Posiada pan więcej! – stwierdziła.

– Chciałbym zapytać w jaki sposób!

– Czy Grzmiąca Strzała rzeczywiście jest tak biedny? Czy nie posiada bogactw, które nic nie mają wspólnego z posiadaniem złota?

– Tak, jest taki skarb! Znam taki skarb, który jest cenniejszy niż całe złoto świata i gdybym miał tysiąc żyć, to wszystkie bym poświęcił, by móc walczyć o posiadanie tego skarbu. Tak, *señorita*, jestem Itinti-ka, Grzmiąca Strzała, jestem jednym z najbardziej przerażających traperów dzikich terenów. Szelmy drżą przede mną, bez względu na to, czy noszą białą czy czerwoną skórę. Jestem przyzwyczajony do niebezpieczeństw, jednak aby zdobyć ten skarb, walczyłbym ze wszystkimi białymi i Indianami z Zachodu.

– Czy mogę poznać ten skarb?

– Czy wolno mi go nazwać? – zapytał cicho.

W jego głosie brzmiała owa nieopisana tonacja, która występuje tylko w następstwie szczerzej, prawdziwej miłości. Ten ton znajdował oddźwięk w jego sercu. Odpowiedziała:

– Proszę mówić!

– To pani sama nim jest! – rzekł, chwytając ją za rękę. – Wierzy mi pani?

– Wierzę – odparła po prostu i serdecznie. – Czy nie brzmi to jak zarozumiałość, *señor*? Jednak to prawda, gdyż ja również czuję, że ludzkie serce może być bardziej cenione niż wszelkie bogactwa ziemi. Ja sama także znam taki skarb.

Przy tych słowach przeszło go słodkie rozkoszne przecucie i zapytał:

– Co to za skarb, *señora*?

– Czy naprawdę mam go nazwać? – zapytała cicho, nieco zawstydzona.

– Och, proszę, tak!

– Pan nim jest – nie, ty nim jesteś, Antonio!

Po tych słowach objęła jego szyję ramionami i położyła głowę na jego piersi.

– Czy to prawda, czy to możliwe? – zapytał, nie głośnym, lecz owym delikatnym tonem, w którym mimo to brzmiała cała orkiestra przepelnionego rozkoszą serca.

– Tak. Podziwiam cię od chwili, w której przecięłaś moje więzy i wsadziłaś mnie na konia silnymi dłońmi, i pokochałam cię od chwili, w której mogłam spojrzeć w twoje dobre, szczerze oczy. Jestem twoja, ty silny, najdroższy, dobry człowieku, a każda chwila mojego życia tylko tobie będzie poświęcona.

Wtedy objął ją swoim ramieniem i szepnął, niemal się modląc:

– Panie Boże, dziękuję Ci! To zbyt dużo szczęścia jak na biednego myśliwego.

Ich usta odszukały się, a gdy spotkały się w długim, radosnym pocałunku, nie usłyszeli, że coś zaczęło się ruszać z drugiej strony basenu. To był wódz Mokashi-motak, Bizonie Czoło, który z powrotem przeczolgał się w stronę palisady, by przez nią przeskoczyć i potem spokojnie się położyć spać.



Mniej więcej w tym samym czasie w odległej dolinie, oddalonej od hacjendy del Erina o jakieś dwie godziny, siedziało wokół ogniska może dwudziestu mężczyzn. Mieli zdecydowanie dzikie, zuchwałe postawy, po których każdy może się spodziewać, że mają na sumieniu jakieś morderstwo lub coś podobnego. Na rożnie piekła się ćwiartka cielaka, a leżące obok



To był wódz Mokashi-motak, Bizonie Czoło, który z powrotem przeczołgał się w stronę palisady, by przez nią przeskoczyć i potem spokojnie położyć spać.

resztki zwierzęcia dowodziły, że już od dłuższego czasu dzielnie ucztowano.

– Zatem jak będzie, kapitanie? – zapytał jeden gniewnym tonem. – Czekamy jeszcze dłużej?

Pytany leżał niedaleko niego, oparty na łokciu. Miał prawdziwie bandycką twarz, a za jego pasem zatknięta była liczna broń.

– Czekamy – powiedział ponuro i stanowczo.

– Ale jak długo jeszcze?

– Tak długo jak mi się spodoba.

– Och, mam tego dość!

– Milcz!

– Pozwolisz mi chyba mówić. Obozujemy tutaj już cztery dni i nie wiemy, czy nie uważa się nas za głupców.

– Jeśli masz się za głupca, to nie mam nic przeciwko. Szczęśliwym trafem ja dokładnie wiem, kim jestem.

– Ale co robimy przy tym tak zwanym hrabim też wiesz?

– To też wiem.

– No, co zatem?

– Dobrze nam płaci, a więc czekamy, aż objaśni nam, co mamy robić.

– To tylko diabeł wytrzyma! W tym czasie mogliśmy coś zrobić i zarobić!

– Milcz!

– Oho! Jestem mężczyzną i wolno mi mówić!

– A ja jestem kapitanem i zabraniam ci!

– Kto cię zrobił kapitanem? Przecież dopiero my!

– Prawda! A ponieważ nim jestem, to wiem, jak nim być.

Jedz swoje mięso i zamknij swój pysk, albo poznasz prawo!

– Grozisz mi? – zapytał bandyta, chwytając za nóż.

– Grozić? Nie, chcę tylko działać!

Kapitan powiedział to zimnym, obojętnym tonem, ale szybkim jak błyskawica ruchem wyciągnął zza pasa pistolet i nacisnął

spust. Padł strzał, a sprzeciwiający się rozmówca opadł z roztrzaskaną głową na ziemię.

– Tak, to się należy nieposłusznym. Usuńcie go na bok!

Z tymi słowami kapitan zaczął obojętnie ładować pistolet.

Podniósł się cichy pomruk dezaprobaty, umilkł jednak natychmiast, gdy tylko kapitan podniósł głowę.

– Kto narzeka? – zapytał. – Mam jeszcze kilka kul. Co się stanie, gdy nie będzie żadnego posłuszeństwa! Ten hrabia Rodriganda płaci każdemu z nas po sztuce złota za dzień. Czy to nie jest wystarczające? Kazał nam czekać, zgoda, ale jeszcze zleci nam pracę, gdyż taką sumę nawet hrabia nie wydaje nadaremno.

Ludzie uspokoili się, a ciało zostało usunięte na bok. Ogień rzucał na grupkę swoje niepewne cienie. Zjedzono resztę mięsa, wystawiono wartę, a potem wszyscy okryli się kocami.

Ledwie na leżących mężczyzn spłynął sen, gdy usłyszano tętent końskich kopyt. Wszyscy natychmiast poderwali się ze swoich posłań. Zbliżał się jakiś jeździec.

– Kto tam? – zapytał wartownik.

– Swój!

– Możesz przejść.

Przybysz oddał konia wartownikowi i następnie podszedł bliżej. Był to hrabia Alfonso de Rodriganda. Usiał obok kapita-
na, wyciągnął swój tytoń i skręcił sobie papierosa. Przygląda-
no mu się w milczeniu, a gdy zaciągnął się papierosem i jeszcze
ciągle milczał, kapitan zapytał:

– Czy przynosi pan nam wreszcie robotę, *don Rodriganda*?

– Tak.

– Jaką? Zrobimy wszystko, co zostanie dobrze opłacone.

Wskazał przy tym wymownym ruchem na sztylet. Hrabia pokręcił głową i odparł:

– To nic z tych rzeczy. Macie mi tylko służyć jako *arrierros*⁴⁵.

⁴⁵ *Arierros* (hiszp.) – poganiacze mulów.

– Jako *arrieros*? – powiedział kapitan. – *Señor*, nie jesteśmy jakimiś szmatami!

– Wiem. Słuchajcie, co wam powiem!

Mężczyźni z ciekawości przysunęli się bliżej, a hrabia Alfonso zaczął:

– Mam coś do załatwienia w Meksyku, o czym nikt nie może się dowiedzieć. To tyle. Mogę na was liczyć?

– Jeśli pan płaci, tak!

– Dostaniecie ile zażądacie. Macie ze sobą zamówione juczne siodła?

– Tak.

– Worki i skrzynie?

– Tak.

– Dobrze! Konie weźmiemy z *estancji* del Erina, tak dużo ile potrzebujemy. Jutro o tej porze będę tu znowu, i ruszymy o świcie.

– Dokąd?

– Tego jeszcze sam nie wiem. Będę was prowadził.

– Co takiego mamy przewozić?

– To też was nie obchodzi. Przyprawdzą ze sobą moich dwóch służących, którzy gdzieś i kiedyś napelnią wam worki i skrzynie. Potem to wszystko pod moim nadzorem pojedzie do Meksyku, a wy macie bronić transportu, gdyby miał nas ktoś zaczepiać.

– To tajemnicza sprawa, *don* Rodriganda. Musimy do tego dostosować cenę.

– Dobrze! Ile żądacie?

– Trzy sztuki złota na głowę na dzień.

– Zgoda!

– Ale dla mnie jako przywódcy sześć.

– Zgoda i na to!

– Cały wikt i utrzymanie.

– Rozumie się!



– Czy przynosi pan nam wreszcie robotę, don Rodriganda?

– A gdy transport szczęśliwie dojedzie do Meksyku, trzysta sztuk złota jako ekstra zapłatę.

– Dostaniecie pięćset, jeśli będę zadowolony!

– Hurra, to dobrze brzmi! *Señor*, możesz na mas polegać. Pójdziemy za panem w ogień!

– Mam nadzieję. Poza tym tu jest mała zachęta do wierności dla was do podziału!

Wyciągnął rulon pieniędzy z kieszeni i dał kapitanowi, a następnie odjechał.

Gdy przebrzmiały odgłosy końskich kopyt, ostrożny kapitan jeszcze chwilę odczekał, a potem otworzył rulon.

– Złoto! – powiedział – Lśniące czyste złoto!

– Jest wspaniały! – zauważył jeden.

– Hm! – powiedział kapitan. – To daje mi do myślenia!

– Co mamy przewozić?

– Nikt ma nie wiedzieć!

– My też nie?

– On ma zaufanie tylko do tych dwóch służących!

Teraz ciągle nasuwały się pytania i przypuszczenia. Jeden nawet powiedział:

– Może chce ukryć ludzkie zwłoki!

– Albo złoto z *estancji*!

– Albo zakopany skarb królów Azteków!

Przywódca dał znak, by milczeli i powiedział:

– Chłopcy, nie łamcie sobie głowy! Tak dobrze płaci, że to co mamy przewieźć i obronić z pewnością jest niezwykle. Będziemy mu posłuszni pod każdym względem, ale potem mogę być trochę ciekawski, a gdy tego, co mamy załadować, również będziemy potrzebować, to hrabia jest tak samo wart kuli jak hrabiowscy służący albo dwóch takich lotrów. Teraz spać i bądźcie cicho!

Wokół ogniska zapanowała cisza, chociaż niektórzy rabusie tak naprawdę nie spali, tylko próbowali zgadnąć, jaki rodzaj ładunku ma zostać im powierzony.

~

Ledwie następnego ranka Helmers wstał ze swojego posłania, gdy wszedł do niego hacjendero, żeby życzyć mu dobrego dnia. Pomimo krótkiego czasu jaki spędzili razem, już bardzo serdecznie polubił Niemca.

– Przychodzę właściwie z prośbą – powiedział.

– Spełnię ją jeśli tylko będę potrafił – odparł Helmers.

– Potrafi pan to zrobić. Znajduje się pan tu w odosobnieniu, gdzie nie może pan zaspokoić swoich potrzeb, podczas gdy ja mam wszelkie zapasy, bo muszę zaopatrywać moich w to, co potrzebują. Jeśli zechce pan sobie sprawić bieliznę czy nowe ubranie, to mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z moich cen.

Helmers dobrze wiedział co to znaczyło, ale z jednej strony nie chciał urazić dobrego hacjendero, a z drugiej jego stare ubranie myśliwskie znajdowało się w tragicznym stanie. Zastanowił się krótko nad propozycją i odparł:

– Dobrze, przyjmuję pańską propozycję, *señor* Arbellez, ale pod warunkiem, że pańskie ceny nie są zbyt wysokie, gdyż prawdę mówiąc, jestem tym, kogo ludzie nazywają biedaczyskiem.

– Hm, przynajmniej troszeczkę muszę przecież zarobić, aczkolwiek zapłata nie jest dokładnie dzisiaj wymagana. Proszę z mną, *señor*. Pokażę panu mój magazyn!

Gdy godzinę później Helmers stanął przed lustrem, wydał się sobie raczej obcy i wytorny. Nosił obszyte złotem meksykańskie spodnie, rozcięte u dołu, lekkie półbuty z ogromnymi ostrogami, śnieżnobiałą koszulę, na niej krótką, rozpiętą z przodu kurtkę, która miała złote i srebrne ozdoby, na głowie sombrero z szerokim rondem, a w pasie *shawl*⁴⁶ z najdelikatniejszego chińskiego połyskującego jedwabiu. Jego włosy zostały przycięte, broda wygolona i przystrzyżona tak, że ledwie sam siebie poznał w tym twarzowym, bogatym stroju.

⁴⁶ *Shawl* (ang.) – szal.

Gdy wszedł do jadalni na śniadanie, zastał już tam obecną Emmę. Poczzerwieniała z wrażenia, gdy zauważyła odmianę, jaka w nim zaszła. Tak męskiego i tak pięknego jeszcze go sobie jednak nie wyobrażała. Również Karja, Indianka, zdawała się dopiero teraz zauważyć jakim mężczyzną był Niemiec. Może porównała go z hrabią. Obaj indiańscy wodzowie naturalnie zachowywali się tak, jakby nie zauważyli tej odmiany. Był jednak jeden, którego to niezmiernie zirytowało.

Tym kimś był hrabia. Nadzieja, że wkrótce zostanie posiadaczem skarbu, chyba nastrajała go do ustępstw. Przyszedł na śniadanie, ale prawie zaraz chciał wrócić, gdy zobaczył Helmersa. Nikt nie zamienił z nim jednego słowa, a musiał widzieć, że z jaką większą niż siostrzaną serdecznością i uprzejmością Emma zwracała się do znienawidzonego rywala. Zgrzytnął skrycie zębami i postanowił unieszkodliwić tego obcego.

Po śniadaniu Emma poprosiła Niemca, by jeszcze został. W najmniejszym stopniu nie przypuszczał, co ona zamierza, ale gdy cała trójka pozostała sama, piękna dziewczyna objęła ramionami hacjendera i powiedziała:

- Ojcie, zastanawialiśmy się wczoraj jak powinniśmy podziękować *señorowi* Helmersowi.
 - Tak – przytaknął – ale niczego nie wymyśliliśmy.
 - Och – powiedziała – jeszcze potem rozmyślałam i wpadłam na coś właściwego.
 - Co to miałyby być, moje dziecko? – zapytał.
 - Mogę ci pokazać?
 - Oczywiście!
- Wtedy ujęła głowę Niemca i pocałowała go.
- Ojcie, to miałam na myśli i uważam, że on jest tego wart! Oczy hacjendera rozbliły, a potem zwilgotniały.
 - Moje dziecko, czy to na poważnie?
 - Z całego serca, ojcie! – zapewniła.

– A *señor* Helmers zgadza się?
– Och, kocha mnie ponad wszystko i to czyni mnie taką szczęśliwą!

– Czy on tak tobie powiedział?

– Tak jest! – zaśmiała się zalana łzami.

– Kiedy?

– Wczoraj wieczorem.

– Gdzie?

– W ogrodzie. Ale, ojczec, czy wszystko musisz wiedzieć? Czy nie wystarczy ci, że jestem szczęśliwa, tak bardzo, bardzo szczęśliwa?

– Tak, tak, to wystarczy, chociaż muszę ci powiedzieć, że mnie także uszczęśliwiłaś. A pan, *señor* Helmers, czy rzeczywiście chce pan zostać synem starego, prostego człowieka?

Dobremu Niemcowi łzy spłynęły po policzkach dwoma jasnymi strugami.

– Och, jak chętnie, jakże chętnie! – odpowiedział. – Jednak jestem biedny, bardzo biedny, *señor*!

– Cóż, za to ja jestem bogaty, więc to się wyrówna. Chodźcie do mego serca, dobre dzieci. Niech Bóg błogosławi nas wszystkich i niech ten dzień będzie początkiem bardzo szczęśliwego życia!

Padli sobie w ramiona i tak pozostali, obejmując się długi czas w głębokim wzruszeniu i czystej błogości, gdy nagle drzwi się otworzyły i ponownie wszedł hrabia.

Stał całkowicie zaskoczony. Zrozumiał co się tutaj stało i zbladł ze złości.

– Przyszedłem w sprawie jednego z koni – usprawiedliwiał się – ale widzę, że przeszkadzam!

– Proszę nie odchodzić – powiedział hacjendero – dopóki się pan nie dowie, że moja córka zaręczyła się z *señorem* Helmersem!

– Gratuluję!

Ponownie wyszedł z tym wściekle wycedzonym przez zęby słowem. Petro Arbellez nie miał nic pilniejszego do zrobienia, jak

wezwać całą swoją służbę, by oznajmić jej, że dzisiaj jest wolny dzień, ponieważ będą świętowane zaręczyny *doñi* Emmy. Hacjenda i okolica rozbrzmiały znowu radosnymi okrzykami *vaqueros* i Indian, którzy pozostawali w służbie hacjendera. Wszyscy kochali swoich państwa, a wczoraj poznali również Niemca jako człowieka, któremu Arbellez może powierzyć piękną córkę.

Gdy Helmers ponownie pojawił się na pastwisku, naprzeciw wyszedł mu wódz Misteków.

– Jesteś dzielnym mężem – odezwał się. – Zwycięzasz nieprzyjaciół i zdobywasz najpiękniejszą *squaw* w kraju. Niech Wahkonta cię błogosławi. Tego życzy ci twój brat.

– Tak, to ogromne szczęście – odpowiedział Niemiec. – Byłem biednym myśliwym, a zostanę bogatym hacjendero.

– Nie byłeś biedny. Byłeś bogaty!

– Tak – zaśmiał się Helmers. – Spałem w lesie i przykrywałem się gwiazdami.

– Nie – powiedział poważnie Indianin. – Byłeś bogaty, gdyż miałeś mapę do jaskini z królewskim skarbem.

Niemiec ze zdumienia cofnął się o krok.

– Skąd to wiesz?

– Wiem! Mogę zobaczyć tę mapę?

– Tak.

– Teraz?

– Chodź! – rzekł Helmers.

Poprowadził go do pokoju i położył przed nim stary, zniszczony papier. Tecalto rzucił okiem na róg planu i powiedział:

– Tak, masz go! To jest znak Toxertesa, który był ojcem mego ojca. Musiał opuścić kraj i nigdy nie wrócił. Nie jesteś biedny. Czy chcesz zobaczyć jaskinię z królewskim skarbem?

– Możesz mi ją pokazać?

– Tak.

– Do kogo należy skarb?

– Do mnie i Karji, mojej siostry. Jesteśmy jedynymi potomkami królów Misteków. Czy mam cię zaprowadzić?

– Idę z tobą!

– Zatem bądź gotów dzisiaj dwie godziny po północy. Tę drogę należy pokonać tylko w ciemności nocy.

– Ktoś może o tym wiedzieć?

– Nikt. Ale możesz powierzyć tę tajemnicę kobiecie twego serca.

– Dlaczego jej?

– Ponieważ ona wie, że szukasz skarbu.

– Ach, skąd to wiesz?

– Słyszałem każde słowo, które wypowiedzieliście wczoraj w ogrodzie. Miałeś mapę, a jednak nie chciałeś niczego dla siebie. Chciałeś najpierw dociec, czy istnieje spadkobierca. Jesteś honorowym człowiekiem, jakich mało jest pośród białych twarzy. Dlatego powinieneś zobaczyć skarb królów.

Godzinę później, w czasie obiadu, gdy pozostali siedzieli przy deserze, Indianka wymknęła się do pokoju hrabiego. Przyjął ją z wielką czułością i pociągnął na sofę.

– Przygotowałeś papier? – zapytała.

– Potrafisz czytać?

– Tak – odpowiedziała dumnie.

– Tu jest.

Podał jej kartkę papieru, na której do przeczytania widniały następujące słowa:

Niniejszym oświadczam, że po przejęciu skarbu królów Misteków powrócę do domu jako narzeczony Karji, potomkini tych królów i wprowadzę ją do domu jako moją małżonkę.

Alfonzo

Hrabia de Rodriganda y Sevilla

- Czy tak dobrze? – zapytał.
- Słowa są dobre, ale brakuje pieczęci!
- To nie jest konieczne!
- Obiecałeś mi.
- Dobrze, jak chcesz – powiedział, ukrywając swoją niechęć. Stopił laskę wosku i wycisnął pieczęć nad tekstem.
- Proszę, moja Karjo! A teraz ty dotrzyмай swojego słowa!
- Dotrzymam.
- No więc?
- Znasz górę El Reparo?
- Tak. Leży cztery godziny stąd na zachód.
- Wygląda prawie jak ciągnąca się daleko, wysoka grobla.
- Zgada się.
- Z niej wypływają do doliny trzy strumienie. Te środkowy jest właściwy. Jego początek nie tworzy żadne otwarte źródło, lecz wypływa z ziemi całą pełnią i szerokością. Jeśli wejdiesz do wody i pójdziesz tam, gdzie wypływa z góry, schylisz się i przepelniesz do środka, to będziesz miał przed sobą jaskinię.
- Ach, to byłoby naprawdę proste.
- Bardzo proste.
- Potrzebne jest światło?
- Na prawo od wejścia znajdziesz pochodnie.
- To wszystko, co masz mi do powiedzenia?
- Wszystko.
- I rzeczywiście skarb w całości jeszcze się tam znajduje?
- W całości.
- Zatem dzięki, moje dobre dziecko! Już jesteś moją narzeczoną i wkrótce zostaniesz moją żoneczką. Teraz jednak idź, bo ktoś może nas tu zaskoczyć!
- Zobaczę cię dzisiaj wieczorem?
- Tak.
- Gdzie?

– Ponownie nad strumieniem pod drzewami oliwnymi.

Odeszła. Złożyła ofiarę, ale ta ofiara niezmiernie ciążyła jej na duszy. Musiała wziąć udział w dzisiejszej uroczystości, jednak przy ogólnej radości czuła się tak, jakby miała zapłakać gorzkimi łzami.

Hrabia pozostał w swojej komnacie i wcale się nie pokazał. Po południu przybył do niego *estafette*⁴⁷. Dostarczył list ze stolicy Meksyku, który miał być mu doręczony do rąk własnych. Gdy go otworzył i przeczytał, spojrział najpierw tępo przed siebie, ale potem poderwał się i wymamrotał:

– Ba, może być nawet zbrodnia! Uważam to za dobre, jeśli przyniesie mi koronę hrabiego. Jak dobrze, że już jestem gotowy do wyjazdu. Przywiozę ze sobą taki majątek, że będą mi zazdrościli królowie i cesarze!

Ten list brzmiał następująco:

Drogi siostrzeńcu!

Napisał do mnie Twój ojciec. Musisz jechać do Rodrigandy. Jednak najpierw uśmierć starego Ferdinando tak, jak to zostało omówione. Przybywaj! Kapitan Landola czeka już w porcie. Twój wuj

Pablo Cortejo

Jeśli był ktoś, komu nie był w smak ten poklask z powodu zaręczyn Heltersa i Meksykanki, to był nim Niedźwiedzie Serce. Bardzo polubił Niemca, choć nie pozwolił tego poznać po swojej małowónej naturze. Sądził, że jeszcze długi czas będzie wędrował z nim po lasach i preriach, a teraz musiał porzucić tę nadzieję. Dlatego czuł się niezadowolony i osamotniony. Złapał więc jednego z półdzikich koni, dosiadł go i pognał w dal.

Gnał tam kilka godzin w szalonym pędzie, aż wreszcie jednak pomyślał, że jego brak może zostać zauważony i że będzie poszukiwany. Dlatego powrócił. Jednak nie wybrał najprostszego

⁴⁷ *Estafette* (fr.) – goniec.

i najdogodniejszej drogi, lecz jechał wąwozami, dolinami i terenami jakie po drodze napotykał, aż wjeżdżając w zagłębienie, usłyszał nagle sprzeczące się głosy. Zaraz potem rozbrzmiał strzał i krzyk.

Takie zdarzenie jest wielce podejrzone, szczególnie dla ostrożnego Indianina. Zsiadł, przywiązał konia, chwycił za strzelbę i ostrożnie prześlizgnął się do miejsca, z którego padł strzał. Nie było ono daleko. Wdrapał się na skarpe, której wierzchołek porastał dziki mirt. Gdy doszedł do tych krzaków, zobaczył pomiędzy nich małą, acz głęboką dolinkę, w której wokół ogniska znajdowało się ośmiu mężczyzn i dwa trupy. Na jednym stosie leżało przy nich dużo skrzyń, worków i jucznych siodeł. Jeden z mężczyzn miał pistolet w ręku, który akurat ładował.

– Tak musi być – rzekł. – Kto się sprzeciwi, zostanie po prostu zastrzelony.

– Czy te strzały nas nie zdradzą? – zapytał ktoś nieśmiało.

– Głupcze, kto się na nas porwie!

Niedźwiedzie Serce bardzo dobrze rozumiał mieszankę hiszpańskiego i indiańskiego języka jaką mówią na granicy. Ci ludzie jednak mówili wyłącznie po hiszpańsku, którego to języka nie rozumiał. Wziął tych ludzi za grupę myśliwych, pomiędzy którymi doszło do kłótni i strzelaniny. W Meksyku często to tego dochodzi i nikt na to zbyt nie zważa. Wycofał się po cichu, dosiadł konia i pojechał do *estancji*.

Tam rzeczywiście zauważono jego nieobecność, a gdy przybył, musiał natychmiast stawić się przy stole, gdzie nie znalazł czasu na rozpamiętywanie spotkania z nieznanymi.

Radosny dzień minął bez zakłóceń, zwłaszcza, że hrabia w ogóle się nie pokazał. Jednak radość mężczyzny człowieka podobnie jak ból, więc położono się wcześniej spać.

Dopiero wówczas hrabia opuścił swój pokój i poszedł do drzew oliwnych, gdzie zastał czekającą już na niego Indiankę.



Gdy doszedł do tych krzaków, zobaczył spomiędzy nich małą, acz głęboką dolinkę, w której wokół ogniska znajdowało się ośmiu mężczyzn i dwa trupy.

To nie tęsknota za miłością poprowadziła go do niej, lecz musiał podtrzymać szczerze zaufanie przynajmniej tak długo, aż wydobędzie skarb. Zatem udawał przychylność i czułość, ale tak szybko jak to możliwe starał się od niej odejść.

– Dlaczego chcesz już iść? – zapytała go.

– Ponieważ wybieram się w podróż.

– Dokąd?

– Do jaskini ze skarbem.

– Chcesz go już zabrać?

– Nie. Chcę tylko zobaczyć, czy naprawdę tam jeszcze jest.

– Jest tam. Niedawno widział go mój brat.

– Jednakże muszę się sam przekonać. Jest do dla mnie bardzo ważna rzecz.

– Kiedy wrócisz?

– Jeszcze przed wieczorem.

– Więc śpij dobrze!

Objęła go, pocałowała na pożegnanie i potem odeszła. Poszedł za nią powoli. Gdy doszedł do swoich pokoi, jego dwaj służący byli już zajęci pakowaniem jego rzeczy, które zabierał ze sobą. Nie było tego dużo, i dlatego szybko się z tym uporali.

– Znieście to na dół i osiodłajcie konie. Spotkamy się na zewnątrz pod wielkim cedrem!

Zszedł, żeby powoli wyjść. Zauważył przy tym jasne światło, padające z okna sypialni Emmy. Ach, to była narzeczona, ta piękna, która go odepchnęła! Czy narzeczony był z nią? Musiał się tego dowiedzieć; owładnęła nim zazdrość. Wiedział, że wzdłuż palisady leży wiele długich, mocnych pali. Wziął jeden z nich, oparł o mur i wspinał się po nim do góry. Pali był tak długi, że sięgał do otwartego okna, więc mógł rzucić okiem do środka.

Emma rozebrała się i założywszy na siebie prawie prześwitujący *negligé*⁴⁸, gotowa była, żeby położyć się w miękkim posłaniu.

⁴⁸ *Negligé* (fr.) – neglig; tu w znaczeniu nocnej bielizny.

Była tak czarująco, tak urzekająco piękna, że nie mógł się oprzeć. Postawił stopę na parapecie okna i wskoczył do środka. Usłyszała hałas, odwróciła się i krzyknęła z przestraszu.

– Czego pan chce? – zapytała przerażona, starając się ukryć nagość.

– Miłości! – wyjąkał zupełnie oszolomiony jej pięknem.

Jego oczy błyszczały. W pokoju Meksykanki nie było żadnej broni, ale ona była odważna i stanowcza.

– Miłości? – zapytała – Nie miłości, ale pogardy i krwi!

Szybkim ruchem wyrwała mu nóż zza pasa i wyciągnęła w jego kierunku.

– W tej chwili proszę mnie zostawić! – nakazała.

– Zostawić ciebie, o wspaniała? Nie, nie, po tysiącokroć nie! – odparł.

Chwycił i przytrzymał ją za nadgarstek tak, że nie mogła go dźgnąć. Walczyli o przejęcie noża. Był silniejszy od niej, ale wstyd i rozpacz dały jej wystarczająco dużo sił, aby mocno trzymać rękojeść broni. Objął ją drugą ręką i przyciągnął do siebie. Jej biust falował przy jego piersi. Poczula jego oddech i jego pocałunki na swoim karku i policzkach. Uświadomiła sobie, że musi ulec, gdyby dłużej milczała ze wstydu. Dlatego zawołała o pomoc raz, drugi, trzeci.

Wtedy dały się słyszeć z zewnątrz szybkie, lekkie kroki.

– Na miłość boską, dlaczego krzyczysz? – rozbrzmiał głos Indianki, której pokój znajdował się obok tego Emmy i która pierwsza usłyszała wołanie o pomoc.

Hrabia przycisnął Emmę mocniej do siebie, próbował zakryć jej usta, ale to mu się nie udało.

– Wołaj tu ludzi, hrabia mnie atakuje! Szybko, szybko!

– Hrabia? Och!

Nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte. Minęła długa minuta pośród trwających gorących zmagania pomiędzy na wpół

obnażoną dziewczyną, a pożądlwym lubieżnikiem. Wtedy dały się słyszeć lekkie kroki powracającej Karji. Rozbrzmiał strzał i drzwi stanęły otworem. Jak Anioł Zemsty stanęła w nich Indianka, która trzymała w ręku dymiącą strzelbę. Kulą otworzyła drzwi. Również i ona była w połowie ubrana i na swój sposób równie piękna jak Emma.

– Kłamca! Niewierny! – zawołała.

Hrabia puścił Emmę, ale kiedy zobaczył, że strzelba ma tylko jedną lufę, zaśmiał się i chciał ponownie pochwycić dziewczynę, ale wtedy złapała go Indianka i rzuciła nim o ścianę z taką siłą, że upadł na podłogę. Jednocześnie rozbrzmiały głośnie głosy. Usłyszano strzał i śpieszono z pomocą.

Wtedy hrabia, który ledwie opanował zmysły i dopiero teraz przyszedł do siebie, wskoczył ponownie na parapet, dopadł pała i spuścił się po nim na dół. Chwilę później obie dziewczyny usłyszały galop kilku koni.

– Święta Madonno, kto strzelał, co tam na górze się dzieje? – rozbrzmiał głos hacjendera, który przybiegł ze służbą.

Jednocześnie rozbrzmiał w oddali strzał i jeszcze jeden, po których rozległy się dwa okrzyki.

– Boże, Boże, co to? – zapytał Arbellez, który teraz wszedł do pokoju.

– Hrabia mnie napadł, ojczy!

– Hrabia! Czego on chciał? – zapytał zaskoczony, ale zastanowił się i kontynuował: – Nie zamknęłaś się?

– Wszedł przez okno.

– Przez okno? Jak złodziej! O mój Boże! Kto zatem strzelał?

– Ja! – powiedziała Indianka z bladymi wargami. – Zastrześliabym go, gdybym miała dwie lufy. Przyniosłam strzelbę z szafy z bronią.

– Ach! A kto strzelał na dole?

– Nie wiem.

– Ubierzcie się dzieci i przyjdźcie do salonu. To musi być przedyskutowane.

Po krótkim czasie zebrali się wszyscy mieszkańcy domu. Przyse-
dł również Niedźwiedzie Serce. Przy pasie miał przywieszone
dwa jeszcze krwawiące skalpy.

– Co to jest? – zapytał przerażony hacjendero.

– Dwie skóry z głów – odpowiedział po prostu Indianin.

– Skąd?

– Nie mogłem jeszcze zasnąć i chodziłem po nocy. Wtedy
usłyszałem moją białą siostrę wołającą o pomoc. Byłem daleko,
ale okno było otwarte i usłyszałem to. Pobiegłem i zobaczyłem
tam wyskakującego mężczyznę. Pognałem za nim. Dwóch in-
nych czekało na niego. Odjechali konno. Podniosłem strzel-
bę. Było bardzo ciemno, ale zastrzeliłem dwóch i wziąłem ich
skalpy. To są służący hrabiego.

– Więc on uciekł?

– Tak.

– A niewinni zostali zastrzeleni!

– Pshaw! Kto zadaje się z hrabią nie jest niewinny!

Z tymi słowami Apacz opuścił pokój, ale zaraz wrócił i za-
pytał:

– Gdzie jest Grzmiąca Strzała, mój biały brat?

– Tak, gdzie jest *señor* Helmers, że nie przychodzi, gdy po-
trzebna jest jego ochrona? – zapytał Arbellez.

– Pojechał – odpowiedziała Emma.

– Pojechał? Dokąd?

– Z Tecalto.

– Dokąd, pytam! – powiedział Arbellez trwożnie.

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Z moim bratem? Naprawdę? – dopytywała się Indianka.

– Tak, powiedział mi to.

Apacz pokiwał głową.

– Moja biała siostra może otworzyć usta – powiedział. – Czego hrabia chciał od niej w jej wigwamie? Niedaleko stąd obozuje wielu złych białych z siodłami, skrzyniami i workami. Było tam również dwóch zabitych. A moi dzielni bracia odjechali. To ogromne niebezpieczeństwo. Niech moja siostra mówi!

– Ależ on mi zabronił!

– Nie wiedział co się stanie, gdy odjeżdżał!

– O Boże, mówże wreszcie! – ponaglił *estancjero*. – On znajduje się w niebezpieczeństwie utraty życia!

– Zatem muszę powiedzieć. Wybacz mi to. Pojechał z Tecalto do skarbcza królów.

– Do skarbcza królów? – zapytała przestraszona Karja.

– Tak.

– Hrabia też tam jedzie. A ci ludzie w pobliżu mieli worki i skrzynie?

– Tak – odpowiedział Apacz.

– Dużo?

– Dwa razy po pięć i osiem.

– O, to jest niebezpieczeństwo, to wielkie niebezpieczeństwo! – zawołała wtedy Indianka. – Hrabia, kłamca, zdrajca, chce ukraść skarb królów. Zastanie tam *señora* Helmersa oraz mojego brata, i ich zabije. *Señor* Arbellez, zatrąb na trwogę. Każ przyjąć pańskim *vaqueros* i *ciboleros*. Muszą jechać do jaskini ze skarbem, by ratować tych dwóch!

Teraz zaczął się potok pytań i odpowiedzi, a tylko Apacz pozostał spokojny. Słuchał poszczególnych pytań i odpowiedzi, a potem powiedział:

– Kto wie, gdzie leży jaskinia?

– Ja – odpowiedziała Karja. – Poprowadzę was!

– Można jechać konno?

– Tak.

– Zatem dajcie mi tę dziewczynę i dziesięciu *ciboleros* oraz *vaqueros*.

– Jadę z wami! – zawołał Arbellez.

– Nie! – zdecydował Apacz. – Kto będzie bronić hacjendy? Kto wie, co tu się może zdarzyć? Trzeba zwołać wszystkich mężczyzn, weźmie się dziesięciu z nich. Pozostali niech ochraniają hacjendę.

Tak postanowiono. Hacjendero zadął w róg, i na ten znak przybiegli strażnicy trzód i pozostali służący. Apacz wybrał sobie dziesięciu z nich; wszyscy zostali uzbrojeni. Karja również dosiadła konia. Potem odjechali, podczas gdy inni pozostali, wystawiając porządne warty. Zamieszanie było przyczyną tego, że minęło sporo czasu zanim mała grupa wyruszyła w drogę.

Wkrótce po tym jak świętujące towarzystwo rozeszło się, by udać się na spoczynek, Bizonie Czoło wszedł do pokoju Niemca.

– Pamiętasz o swoim słowie? – zapytał.

– Tak.

– Jedziesz ze mną?

– Tak.

– Zatem chodź!

Helmers zabrał broń i poszedł za Indianinem. Na dole były już przygotowane trzy konie, dwa z siodłami do jazdy i trzeci z siodłem jucznym.

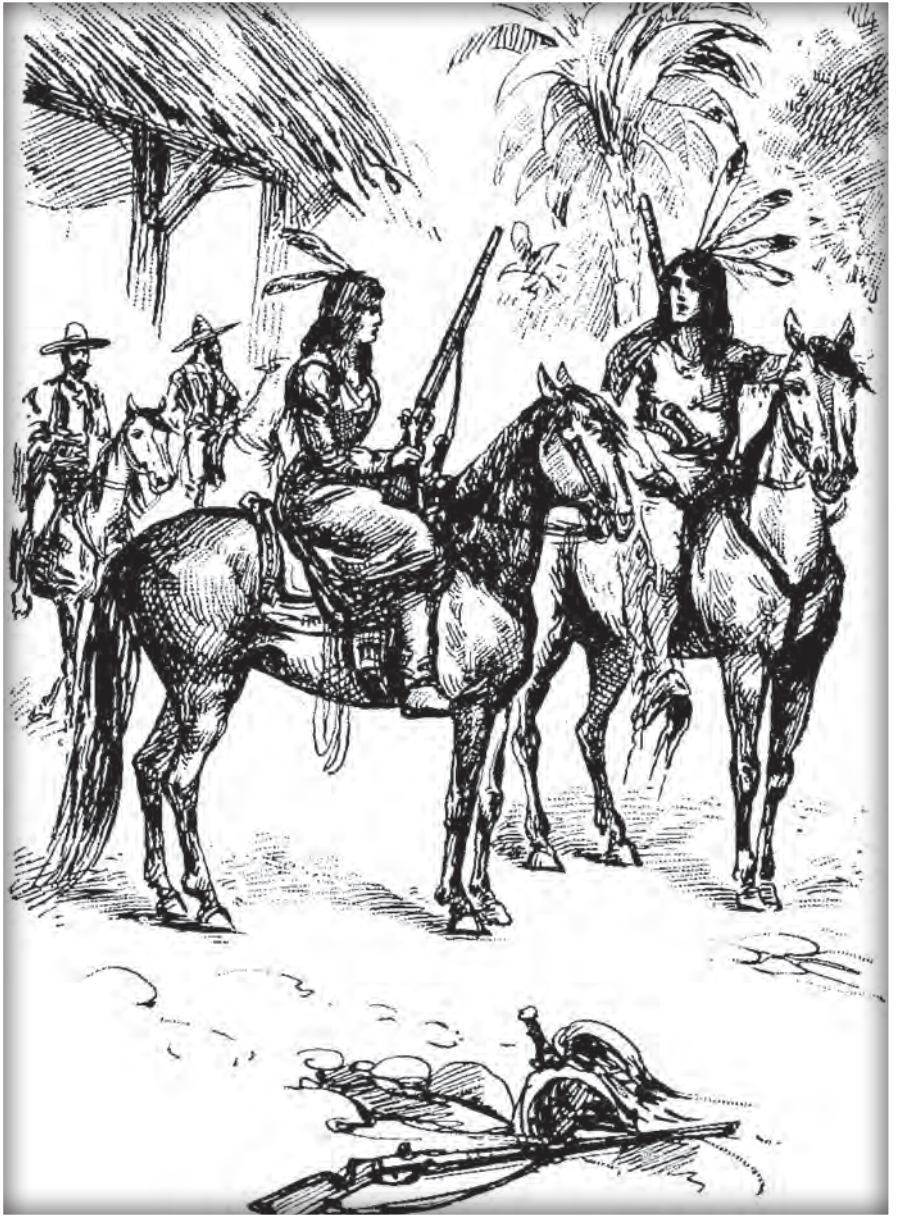
– Po co to? – zapytał Niemiec, wskazując na tego ostatniego.

– Powiedziałem, że nie jesteś biedny. Nie chciałeś zrabować skarbu królów, dlatego powinieneś móc wziąć z niego tak dużo, ile uniesie jeden koń.

– Nie. O czym ty myślisz? – zawołał zdumiony Helmers.

– Nic nie mów, tylko wsiadaj i jedź za mną!

Indianin dosiadł konia, wziął jucznego za uzdę i ruszył w drogę. Helmersowi nie pozostało nic innego jak jechać za nim. Była ciemna noc, ale Indianin znał bardzo dokładnie drogę, a półdzikie meksykańskie konie widziały nocą jak koty. Niemiec



Apacz wybrał sobie dziesięciu z nich; wszyscy zostali uzbrojeni.

mógł spokojnie zaufać przewodnictwu Bizoniego Czola. Naturalnie nie posuwali się szybko naprzód, ponieważ wjechali głęboko między bezdrożne góry.

Bizonie Czolo nie wypowiedział ani słowa. Niczego innego nie dało się usłyszeć w milczącej noc jak kroki i czasami parskanie koni. Tak minęła jedna godzina, druga i jeszcze trzecia. Wtedy zaszumiała woda. Dojechano do nurtu strumienia, którym pojechano dalej. Potem wyrosła przed nimi góra w rodzaju grobli, a gdy dojechali w jej pobliżu, Indianin zsiadł z konia.

– Tu zaczekamy aż nastanie dzień – powiedział.

Helmers poszedł za jego przykładem, pozwolił koniowi na popas i usiadł obok Bizoniego Czola na odłamku skały.

– Jaskinia jest tu niedaleko? – zapytał.

– Tak. Jest tu, gdzie woda wypływa z góry. Trzeba iść w górę strumienia, schylić się, przeczołgać się przez otwór i znajdziemy się w jaskini, której wielkości i części nikt nie zna oprócz Bizoniego Czola i Karji.

– Czy Karja zachowa milczenie?

– Zachowa!

Helmers pomyślał o tym, co powiedziała mu Emma, dlatego powiedział:

– Ale jest jeden, który chce wyciągnąć od niej tajemnicę skarbu.

– Kto taki?

– Hrabia Alfonzo.

– Ugh!

– Jesteś moim przyjacielem, dlatego mogę ci powiedzieć, że ona go kocha.

– Wiem o tym.

– A jeśli zdradzi mu waszą tajemnicę?

– To jest tu Bizonie Czolo. Alfonzo nie może dostać najmniejszej części skarbu.

– Czy skarb jest duży?

– Zobaczysz go. Jeśli weźmiesz razem całe złoto, jakie Meksyk dzisiaj posiada, to jeszcze nie osiągniesz dziesiątej części tego skarbu. Był jeden biały, który go widział i ...

– Zabiliście go?

– Nie. Nie trzeba było go zabijać, bo popadł w obłąd, oszalał z radości i uniesienia. Biali nie potrafią znieść widoku bogactwa, tylko Indianin jest wystarczająco silny!

– A mnie chcesz pokazać ten skarb?

– Nie. Zobaczysz tylko jego część. Lubię cię i ty też nie powinieś popaść w obłąd. Daj mi swoją rękę, bo chcę sprawdzić twój puls.

Wziął rękę Niemca i sprawdził go.

– Tak, jesteś bardzo silny – powiedział. – Duch złota jeszcze ciebie nie dopadł. Gdy wejdiesz do jaskini, to twoja krew popłynie jak wodospad ze skał.

Rozmowa ucichła. Niemcowi wydało się to tak osobliwe, jak jeszcze nigdy przedtem. Wtedy niebo zaczęło zmieniać kolor. Błady brzask wschodu stawał się silniejszy, a wkrótce można było rozpoznać dokładnie pojedyncze obiekty.

Helmers ujrzał przed sobą górę El Reparo, której strome zbocze porośnięte było w większości drzewami żelaznymi⁴⁹. Dokładnie u jej stóp ze skał wypływała woda, która od razu była szeroka na trzy stopy i głęboka na cztery.

– To jest wejście? – zapytał.

– Tak – odpowiedział Bizonie Czolo – ale jeszcze nie wchodzimy. Najpierw musimy ukryć konie. Właściciel skarbu musi być ostrożny.

Poprowadzili konie wzdłuż góry, aż Indianin rozchylił zarośla. Za nimi znajdował się wąski, niski wąwóz, gdzie zwierzęta

⁴⁹ *Drzewo żelazne* – nazwa stosowana wobec wielu gatunków drzew, należących do różnych rodzin, pochodzących głównie z rejonów tropikalnych i subtropikalnych, wyróżniających się bardzo twardym drewnem.

znalazły miejsce. Potem wrócili do strumienia, gdzie zwyczajem Indian zatarli swoje ślady, aż nie dotarli do skał i otworu, którym wypływała woda.

– Teraz chodź! – rzekł Bizonie Czoło.

Powiedziawszy to wszedł do wody, między której powierzchnią a skałami była przestrzeń głęboka na stopę tak, że można było przesunąć przez nią głowę. Ubrania były oczywiście mokre. Znaleźli się teraz w ciemnym pomieszczeniu, którego powietrze pomimo strumienia było niezwykle suche.

– Podaj mi swoją rękę! – powiedział Indianin.

Wyprowadził go z wody do suchego miejsca i wtedy zbadał puls.

– Twoje serce jest bardzo silne – powiedział. – Mogę więc zapalić pochodnię.

Odszedł od Helmersa na parę kroków. Słaby, fosforyzujący błysk przeszył pomieszczenie, rozległ się głośny trzask, potem zapłonęła jedna pochodnia.

Ale co to się stało! Zapłonęła nie jedna, lecz tysiące pochodni. Niemcowi zdawało się jakby znajdował się pośród olśniewającego słońca, połyskującego złotem i diamentami. Jego oczy oślepił milionem promieniejących światel i refleksów, a wśród nieskończonego blasku i połyskiwań zabrzmiały słowa Indianina:

– To jest jaskinia skarbu królów! Bądź silny i trzymaj na wodzy swoją duszę!

Minęło dużo czasu zanim Niemiec przyzwyczaił swoje oczy do tego przepychu. Jaskinia tworzyła bardzo wysoki czworobok o długości i szerokości około sześćdziesiąt kroków, a przez nią płynął strumień pokryty kamiennymi płytami. Od ziemi aż do sklepionego sufitu wypełniona była kosztownościami, których blask mógł w istocie zmącić zmysły nawet najbardziej trzeźwo myślącego człowieka.



– To jest jaskinia skarbu królów! Bądź silny i trzymaj na wodzy swoją duszę!

Były tam posążków bożków, przyozdobione najkosztowniejszymi, szlachetnymi kamieniami, szczególnie obraz boga powietrza Quetzalcoatl⁵⁰, stwórcy Tezcatlipoca⁵¹, boga wojny Huitzilopochtli i jego żony Teoyaniqui, oraz jego brata Tlaka-huepankuexkotzina, bogini wody Chalchiuku-eje, boga ognia Ixcozauhqui i boga wina Cenzon-totochtina. Na półkach stały setki domowych bożków. Były wykonane albo z metali szlachetnych, albo wyciętych w kryształach. Pomędzy nimi stały złote wojenne pancerze o ogromnej wartości, złote i srebrne naczynia, biżuteria z diamentami, szmaragdami, rubinami i innymi szlachetnymi kamieniami, noże ofiarne, których rękojeści, nie licząc wcale cennych kamieni, posiadały wartość historyczną setek tysięcy dolarów, tarcze z mocnych skór zwierząt, oprawione w płyty z litego złota. W centralnym punkcie sklepienia zwisała podobnie jak *lustre*⁵² królewska korona. Miała kształt czepca, wykonana była z drutu z litego złota i w całości wysadzana diamentami. Były też worki pełne złotego piasku i złotego pyłu, skrzynie wypełnione *nuggetami*⁵³, wielkości od ziarna grochu do kurzego jaja. Były tam całe stopy rodzimego srebra odlamanego w dużych kawałkach z kruszconosnych żył, które się odsłoniły. Na kosztownych stołach stały błyszczące modele świątyń Meksyku, Cholula i Teotihuacan⁵⁴, nie mówiąc już o wspianiałych

⁵⁰ *Quetzalcoatl* – jeden z najważniejszych bogów plemion Mezoameryki; Pierzasty Wąż, wąż o piórach ptaka kwezala (nah. Ketsal lub quetzal); czczony był przez Tolteków, Chichimeków, Tepaneków, mieszkańców Teotihuacánu, Tollanu, Zapoteków, Mixteków, a także dalekich Majów.

⁵¹ *Tezcatlipoca* (także Metzli; nah. „Dymiące Zwierciadło” lub „Pan Dymiącego Zwierciadła”) – w azteckim panteonie bóstwo zła, ciemności i zemsty; według mitycznych przekazów był bogiem-stwórcą i Słońcem Ziemi (*Nahui Ocelotl*) w pierwszej epoce świata oraz jednym z czterech synów boga-kreatora Ometeotl (*Dwa Bóg*), dwoiętego stwórcy świata składającego się z męskiego pierwiastka Ometecuhtli (*Pan Dwoistości*) i żeńskiego Omecehuatl (*Pani Dwoistości*).

⁵² *Lustre* (fr.) – żyrandol.

⁵³ *Nugget* (ang.) – samorodek, bryłka złota lub srebra.

⁵⁴ *Cholula* (Cholula de Rivadavia) – miasto w Meksyku położone w stanie Puebla, słynie głównie z położonej w jej granicach Wielkiej Piramidy, która jest

mozaikach z muszel, złota, srebra, kamieni szlachetnych i pereł leżące na ziemi i w kątach.

Widok tych bogactw wywarł na Niemcu prawdziwie oszałamiające wrażenie. Było tak jakby był księciem w baśni z *Tysiąca i jednej nocy*. Zadawał sobie trud, żeby zachować spokój, ale to mu się nie udawało. Czuł krew pulsującą w skroniach i wydawało mu się, jakby przed jego oczami wirowały ogromne ogniste i świetliste diamentowe koła. Ogarnął go rodzaj upojenia, a w samym uświadomił sobie, że takie bogactwa mogą dać władzę, wzbudzić obłędne pragnienie, które samo nie wzdrygnęłoby się przed najstraszniejszą zbrodnią.

– Tak, to jest jaskinia królewskiego skarbu – powtórzył Indianin – a ten skarb należy tylko do mnie i mojej siostry Karji.

– Jesteś bogatszy niż jakikolwiek książę na ziemi – stwierdził Helmers.

– Mylisz się! Jestem biedniejszy niż ty i każdy inny. A może chcesz zazdrościć wnukowi władcy, którego władza przeminęła i którego państwo leży w gruzach? Wojownicy, którzy nosili owe zbroje, tarcze i broń byli uwielbiani przez lud i wysoko cenił. Jedno ich słowo dawało życie lub uśmiercało. Ich skarby jeszcze istnieją, ale miejsce, gdzie złożyli swoje szczątki zostało sprofanowane i zdeptane przez białych, a ich prochy porozrzucone przez wiatr. Ich wnuki błąkały się po lasach i preriach, żeby zabić bizona. Przybył biały. Kłamał i zwodził, mordował i szalał wśród mego ludu ze względu na te skarby. Ziemia należy do niego, ale jest spustoszona, a Indianie pogrzebali skarb w otchłani ziemi po to, żeby nie wpadł w ręce rabusiów. Jednak

największą objętościowo strukturą jaką kiedykolwiek wybudował człowiek; *Teotihuacan* – stanowisko archeologiczne położone na centralnym płaskowyżu, na północny wschód od miasta Meksyk; nazwa stanowiska pochodzi z języka nahuatl i można ją przetłumaczyć jako: miejsce, w którym ludzie stają się bogami; równocześnie jest to nazwa kultury, której wpływ na inne ludy Mesoameryki był przemożny.

ty jesteś inny niż pozostali. Twoje serce jest czyste, wolne od zbrodni. Uratowałeś moją siostrę z rąk Komanczów, jesteś moim bratem i dlatego powinieneś dostać tyle z tego skarbu, ile może unieść koń. Jednak tylko dwie rzeczy są do twojej dyspozycji. Tu są samородki złota, pełne worki, a tutaj łańcuszki, pierścienie i inna biżuteria. Wybierz sobie to, co ci się podoba, reszta jest święta. Nigdy nie ma ujrzeć światła słońca, które widziało upadek Misteków.

Helmers popatrzył na *nuggety* i klejnoty, od których prawie miał zawroty głowy.

– Czy to na poważnie? – zapytał.

– Nie żartuję.

– Ale to przecież tysiące dolarów, które mi darujesz!

– Nie. Nawet będą miliony!

– Nie mogę tego przyjąć!

– Dlaczego? Chcesz wzgardzić darem przyjaciela?

– Nie, ale nie mogę znieść, że obrabowujesz się z mojego powodu!

Indianin potrzęsął dumnie głową.

– To nie żaden rabunek. Nie poniosę żadnej ofiary. To, co tu widzisz, to tylko część skarbu, jaki ukrywa góra El Reparo. Są tu kolejne groty, o których nawet Karja, moja siostra, nie wie. Tylko ja je znam, a gdy kiedyś umrę, to żadna ludzka myśl nie zapuści się w te głębiny. Teraz pójdę, żeby odwiedzić pozostałe jaskinie. Obejrzyj sobie skarb i odłóż na bok wszystko, co wybierzesz dla siebie. Gdy wrócę załadujemy całość na konie i wrócimy do domu, do *estancji*.

Wetknął pochodnię w ziemię i poszedł do tylnego kąta, w którym zniknął.

Niemiec został sam pośród niezmiernych bogactw. Jakimż to zaufaniem musiał go darzyć Indianin! Co, jeśli Helmers chciałby potajemnie powrócić, żeby się wzbogacić? Co, gdy zabije

Indianina, żeby stać się panem wszystkiego tego, czego ma stać się posiadaczem tylko małej części? Jednak temu uczciwemu człowiekowi żadna taka myśl nie przyszła do głowy. Prawie miał gorączkę z zachwyty, że wolno mu zabrać tyle klejnotów i *nuggetów* ile koń udźwignie.

~

Hrabia Alfonzo szczęśliwie uszedł przed kulą Apacza. Zauważył, że obaj służący upadają, ale nie zatrzymał się, by zobaczyć czy są martwi, czy tylko ranni. Strach przed następstwami jego nieroztropności pchał go naprzód. Wprawdzie był synem prawowitego właściciela hacjendy, ale przecież dowiedział się, co to znaczyło i do tego wiedział, że tu tak blisko indiańskiej granicy panują zupełnie inne wyobrażenia i zwyczaje niż w stolicy i jej okolicach. Fakt, że do niego strzelano powiedział mu, z jakimi ludźmi miałby do czynienia, gdyby dał się złapać i miał tylko jedną myśl: dalej, do jaskini królewskiego skarbu, a potem do domu, do Meksyku.

Kazał swojemu zwierzęciu pędzić tak szybko, jak było to możliwe w ciemności bez niebezpieczeństwa, i nie zmniejszać tej prędkości, aż do osiągnięcia doliny, w której obozowali jego pomocnicy. Podobnie jak wczoraj zatrzymał się na wezwanie i udzielił tej samej odpowiedzi. Teraz mógł podejść do ogniska, które podsycano, żeby lepiej móc widzieć.

- Jesteście gotowi? – zapytał.
- Jesteśmy gotowi – odparł herszt.
- A konie?
- Te złapaliśmy ze stada *señora* Arbelleza.
- Ile?
- Osiemnaście dla nas i trzydzieści dla pana.
- Osiodłane?
- Tak.
- To wyruszamy!

- A pańscy dwaj służący, którzy mieli być przy tym?
- Nie przyjdą.
- Ach! Kto będzie pana obsługiwał?
- Znajdzie się taki – odrzekł krótko.

Dopiero teraz wpadło mu go głowy, w jakich znalazł się tarapatach. Nie mógł zabrać tych strasznych ludzi do jaskini. Oczyszciliby ją nie dla niego, tylko dla siebie. Miał jednak nadzieję, że we właściwym momencie znajdzie się wyjście. Mężczyźni przyprowadzili ze sobą konie i dosiedli je. Usadowił się z hersztem na czele i ruszyli w drogę.

Alfonzo znalazł górę, którą wskazała mu Indianka, ale z tej strony jeszcze jej nie zwiedzał. Nie był obeznany ze szczegółami drogi. Znal tylko kierunek i dlatego, przy wymaganej ostrożności, jazda była powolna.

Dopiero gdy zaczął świtać rano, można było pospieszyć konie, a więc nie trwało to też długo, gdy pojawił się ciemny masyw El Reparo.

Dojechali do góry od jej południowej strony i podążali wzdłuż wschodniego zbocza. Pierwszy strumień został przekroczony, a gdy Alfonso zauważył, że drugi jest w pobliżu, kazał się zatrzymać. Nie chciał ich zabierać ze sobą aż do jaskini. Zresztą trzeba było się przecież najpierw przekonać, czy ona w ogóle istnieje.

- Co teraz? – zapytał przywódca.
- Wy tu zaczekacie!
- Ach, zostawia nas pan?
- Tak, ale na krótko.
- Co właściwie mamy załadować?
- O to się w ogóle nie martwicie. Jest umówione przecież tak jak wiecie.

Odjechał powoli. Herszt zwrócił się do swoich ludzi:

- Teraz mamy tajemnicę tuż obok. Co robimy? – zapytał.
- Podpatrzymy go – odparł jeden.

– To chyba najlepsze. Czekać tu!

Zsiadł z konia i poszedł śladem hrabiego. Było tam wystarczająco skał i zarośli, które zasłaniały go tak, że Alfonzo, nawet gdyby się odwrócił, nie mógł go zobaczyć.

Tak przeszedł kawałek dalej, aż hrabia nie doszedł do strumienia. Tutaj Alfonzo zsiadł z konia, przywiązał go do pnia żelaznego drzewa i zniknął za krzewami. Herszt odczekał chwilę, a że hrabia nie wrócił, pospiesznie wrócił do swoich ludzi. Odnalazł ich wciąż w tym samym miejscu, w którym ich pozostawił.

– Zniknął w zaroślach – powiedział. – Tam jest jego tajemnica. Co robi, jeśli podjedziemy bliżej?! Naprzód!

Ponownie ruszyli w kierunku krzaków, które obrzeżały strumień, jednak nie posunęli się dalej, lecz pozostawali na miejscu. Teraz byli nad strumieniem, ale jeszcze nie u jego wylotu z góry. Między nimi a strumieniem było zakole porośnięte krzakami, tak że nie widzieli wejścia do jaskini. Nie widzieli też konia hrabiego, bo ten przywiązał go z boku miejsca, w którym się zatrzymali.

Hrabia zbadał ujście wody i stwierdził, że jest możliwość dostania się do środka. Wszedł więc w zimną wodę, schylił się i wczuł się do środka. Jeszcze nie doszedł do miejsca, gdzie zaczynało się sklepienie jaskini, gdy zauważył przed sobą jasny blask światła.

Co to było? Światło pochodni? A może był to blask dnia, który wdzierał się gdzieś przez otwór w jaskini? Wyglądało na to pierwsze. Hrabia nie pomyślał o wycofaniu się; skradął się dalej powoli i ostrożnie, unikając każdego hałasu, żeby nie zostać zauważonym.

Wtedy nagle złote i diamentowe rozbłyski i migotania uderzyły go w oczy. Wręcz się przestraszył i podskoczył. Stał wewnątrz jaskini i ujrzał skarby, które tu były uwięzione. Zadrzał. Demon złota pochwycił go z całą siłą. Jego oczy ciemniały i rozszerzały się na zmianę. Chciałby głośno krzyknąć z rozkosznego

przestrachu, ale nie zrobił tego, ponieważ – tam, ledwie pięć kroków przed nim – klęczał na ziemi człowiek i porządkował część kosztownych klejnotów, które poukładał sobie na mozaikowej tacy. Kim był ten człowiek? Ach, teraz przechylił się na bok. Można było dostrzec jego profil i hrabia go rozpoznał.

– Niemiec! – mruknął przez zęby. – Narzeczony, który mnie wypędził! Kto wskazał mu jaskinię? Czy jest tu sam, czy ma towarzystwo?

Jego wzrok błędził, przeszukując pomieszczenie. Zobaczył, że Helmers jest sam. Nie miał pojęcia, że Bizonie Czoło znajdował się w części położonej obok.

„Ach, nie ma nikogo oprócz niego! – pomyślał z wściekłą radością. – Nie powinien dostać nic, nawet ziarenka ze tego złota. Zemszczę się. On musi umrzeć!”

Wyszedł po cichu z wody. Niedaleko leżała maczuga. Była zrobiona z mocnego, żelaznego drzewa z osadzonymi w niej ostrymi kawałkami kryształu, które czyniły cios podwójnie niebezpiecznym. Chwycił ją za uchwyt ozdobiony szlachetnymi kamieniami i podkraść się za Niemca.

Ten oglądał właśnie świetnie wykonany łańcuch, przesuwając go pomiędzy swoimi palcami.

– Wspaniały! – powiedział. – Czyste rubiny! Sam tworzy skromny majątek!

Pozwolił mu się bujać w świetle pochodni i chciał już go odłożyć, ale nie zdążył tego zrobić, ponieważ maczuga opadła na niego i uderzyła go w głowę z taką siłą, że natychmiast runął. Łańcuch wysunął się z jego ręki, której palce się rozchyliły.

Teraz hrabia wyrzucił z siebie dziki, nieartykułowany okrzyk.

– Zwycięstwo! Wszystko moje, wszystko, wszystko, wszystko!

Owładnęło nim prawie szalone uniesienie. Podskakiwał z radości i klaskał w ręce jak wariat. Każdy, kto zobaczyłby go w takim stanie, pomyślałby, że jest szalony.

Ale co to? Nagle stanął jak sparaliżowany, zbladł i oczy otworzyły mu się szeroko, jakby zobaczył ducha. Z tylnego kąta wyloniła się jakaś postać i zwróciła na niego wzrok, najpierw w zdumieniu, a potem z ponurym błyskiem. Był to Bizonie Czoło, który wrócił z obchodu i zamiast przyjaciela zobaczył innego, obok którego leżał bez ruchu Niemiec.

W dwóch tygrysyckich skokach Indianin znalazł się przy hrabim i złapał go.

– Psie, co tu robisz? – zawołał.

Hrabia nie zdołał wymówić słowa. Nie mógł się równać z tym okropnym Indianinem. Wiedział to. Był zgubiony – z najwyższego zachwytu runął w zimną, straszną śmierć. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach i zaczął się trząść.

– Zabiles go! – powiedział Bizonie Czoło, wskazując na Niemca i maczugę leżącą na ziemi.

Potrząsnął nim przy tym z taką siłą, jakby olbrzym złapał małe dziecko.

– Tak – wyjęczał hrabia ze strachem.

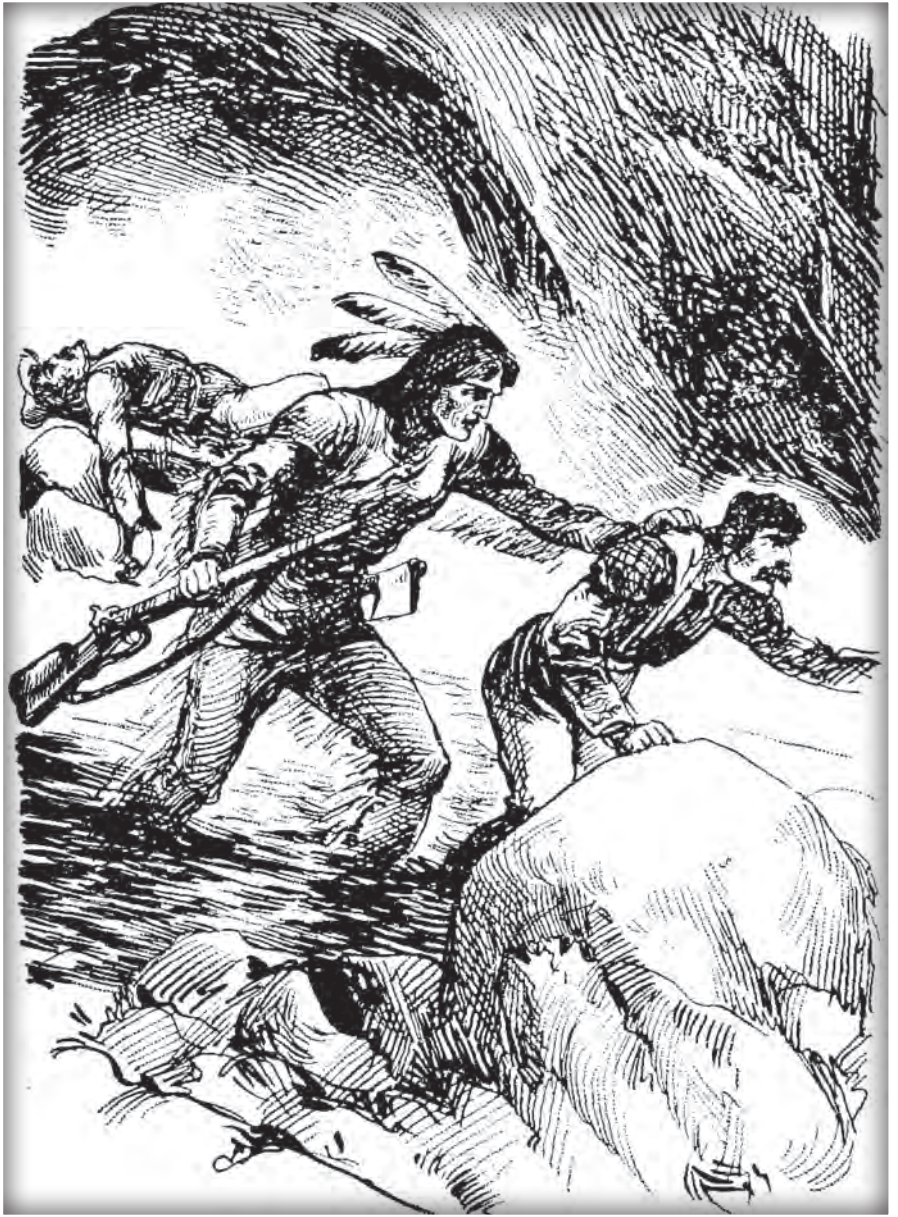
– Dlaczego?

– Ten... ten skarb... jest temu winien... – wyjąkał.

– Ba! Jesteś jego wrogiem. Jego śmierci już wcześniej sobie życzyłeś. Biada ci, po trzykroć biada!

Pochylił się, żeby obejrzeć przyjaciela. Hrabia stał tam jak posąg bez życia i bez ruchu. Jakże łatwo mógł pochwycić maczugę i przynajmniej spróbować walki, ale znajdował się pod czarem skarbu i urokiem tego najsłynniejszego z *ciboleros*. Działo się z nim tak, jak mówi legenda o małym ptaszku, który również nie odleciał, gdy grzechotnik skierował na niego swój wzrok, lecz bez oporu pozwolił się udusić.

– Nie żyje! – powtarzał Bizonie Czoło, podnosząc się. – Osądzę cię, a twoja śmierć ma być taką jaką jeszcze żaden tu nie umarł. Jesteś mordercą najszlachetniejszego i najlepszego myśliwego jakiego nosiła ziemia. Po tysiąckroć każę cię uśmiercać.



W dwóch tygrysich skokach Indianin znalazł się przy hrabim i złapał go.

Staął naprzeciwko sprawcy z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Mięśnie jego ogromnej postaci napięły się, przesywającym wzrokiem wpatrywał się w hrabiego.

– Ach, ty drżysz! – powiedział pogardliwie. – Jesteś robakiem, tchórzliwą gnidą. Kto ci wskazał drogę do tej jaskini?

Zapytany milczał. Czuł się tak jakby nastał dla niego Dzień Sądu Ostatecznego i stał przed Odwiecznym Sędzią.

– Odpowiadaj! – zagrział *cibolero*.

– Karja – wyszeptał hrabia.

– Karja? Moja sistra?

– Tak.

Oczy Indianina zaiskrzyły jak rozpalone pochodnie.

– Powiedziałeś prawdę czy kłamiesz? Wymieniłeś moją siostrę tylko dlatego, by zyskać łaskę i uniknąć kary!

– Mówię prawdę. Możesz mi wierzyć!

– Ach, to musiałeś użyć diabelskich sztuczek uwodzenia, by wydobyć z niej tajemnicę El Reparó. Udawałeś, że ją kochasz?

Hrabia milczał.

– Mów! Tylko prawda może złagodzić twój los. Wiesz, jak masz umrzeć?

– Powiedz – wyjąkał Alfonso, trzęsąc się ze strachu.

– Tam, na szczycie góry, znajduje się staw. Nie jest duży, ale żyje w nim dziesięć świętych krokodyli, w których brzuchach wcześniejsi władcy tego kraju grzebali zbrodniarzy. Zwierzęta mają ponad sto lat i od dawno już głodują. Wyprowadzę cię tam i powieszę na drzewie tak, abyś wisiał żywy nad stawem. Krokodyle będą wyskakiwać do ciebie, ale całkiem cię nie dosięgną. Będą się żarły między sobą o ciebie. Będziesz wdychał ich cuchnący odór i długie dni oraz noce będziesz wisiał nad nimi, bo powróż nie będzie związany wokół twojej szyi. Więc będziesz tak wisiał w żarze słońca, będziesz umierał z głodu i pragnienia, i dopiero wówczas, gdy twoje ciało przegnije na padlinę, spadniesz i zostaniesz pożarty przez aligatory.

Alfonzo słuchał tych słów z niedającą się opisać zgrozą. Jego język nie poruszył się i ze strachu ciążył mu jak ołów. Nie potrafił wypowiedzieć prośby o łaskę.

– Tylko otwarte przyznanie się do winy może złagodzić twój los – kontynuował Indianin. – Więc gadaj! Czy mówiłeś o miłości mojej siostrze?

– Tak – jęknął przesłuchiwany.

– Ale ty jej nigdy nie kochałeś?

– Nie – odpowiedział.

Przyznał się i nie ważył się wypowiedzieć jednej nieprawdziwej sylaby.

– Ale ona cię kocha? – wypytywał dalej Indianin.

Również to pytanie Alfonso szczerze potwierdził.

– Gdzie się spotykaliście?

– Przy drzewach oliwnych nad strumieniem, za hacjendą.

– No, pocałowałaś ją, a jeśli nie zażądałaś od niej czegoś więcej, to mimo to zgodnie ze zwyczajami tej okolicy jesteś jej mężem. Obiecałaś jej, że uczynisz ją swoją żoną?

– Tak.

– Kiedy zdradziła ci tę tajemnicę? – Było to kolejne pytanie Indianina.

– Wczoraj wieczorem – Brzmiała odpowiedź.

– Jesteś tu sam?

– Nie, towarzyszy mi osiemnastu Meksykanów.

– Ach, mieli ci pomóc wynosić ten skarb, a ty im zdradziłeś tajemnicę?

– Oni nie wiedzą, co mają przewozić i nie znają też jaskini.

– Gdzie oni są?

– Kawalek stąd, w niewielkiej odległości.

– Dobrze! Ten człowiek teraz tu zostanie, ale ty pójdziesz ze mną. Nie zwiążę cię i nie skuję, bo nie możesz mi umknąć. Jesteś robakiem, którego zmiążdżę jednym uściskiem. Dalej, idź za mną!

– Co ze mną zrobisz? – zapytał przestraszony Alfonso.

– Dowiesz się!
– Lepiej zabij mnie tutaj!
– Ba! Oszukałeś córkę Misteków. Musisz odpokutować.
– Jak?
– Tak, że pojmiesz ją za żonę.
– Och, to mogę zrobić! – zawołał szybko Alfonzo.
– Ach! – zaśmiał się ponuro Indianin. – Myślisz, że to cię uratuje! Nie ludź się. Pojmiesz Karję za żonę, zostanie hrabiną de Rodriganda y Sevilla, ale tobie nie wolno jej tknąć. Dalej, idź za mną!

Złapał go za ramię i pociągnął do wyjścia. Tan wszedł z nim do wody i wypchnął go na światło dzienne bez puszczenia jego ręki.

Stało się tak, jakby poprzez nową kąpiel w wodzie i przez wpływ porannego światła z Alfonzo został zdjęty urok. Odechnął głęboko i lekko; zapytał siebie w duchu, czy może żywić jeszcze jakąś nadzieję.

– Gdzie jest twój koń? – zapytał Bizonie Czolo.
– Tam na prawo przywiązany do żelaznego drzewa.
– Gdzie są Meksykanie?
– Za tym pagórkem.
– Więc chodź do twojego konia!

Poszedł z nim do miejsca, które wskazał Alfonzo. Ledwie jednak weszli pomiędzy zarośla zauważyli Meksykanów, którzy stali z końmi jakieś trzydzieści kroków od nich.

– Psie, oszukałeś mnie! – zawołał Indianin, łapiąc go za gardło.
– Na pomoc! – krzyczał Alfonzo, próbując się wyrwać.
– Tu masz pomoc! – odpowiedział Indianin.

Uderzył go pięścią w głowę tak, że ten runął, ale zobaczył też już, że jest otaczany przez Meksykanów, którzy wprawdzie jeszcze nie sięgnęli po broń, ponieważ byli przekonani, że ten człowiek nie może im uciec.

Bardzo się na tym zawiedli. Indianin wprawdzie zostawił swoją strzelbę przy koniu, ponieważ mogłaby ucierpieć w wodzie, ale

za pasem miał swój dobry nóż. Z szybkością błyskawicy susem wskoczył na konia za hersztem, wyciągnął swój nóż i wbił go w jego pierś. W następnej chwili pognał stamtąd, ale nie w okolicę hacjendy. Nie wolno mu było opuścić góry tajemnic, żeby nie ujawnić jaskini. Dlatego popędził prosto w kierunku małego wąwozu, w którym stały oba konie. Mógł stanowić dla niego fortecę, w której byłby bezpieczny od napaści wrogów.

Wtedy Meksykanie na kilka chwil stanęli jak osłupiali tym niespodziewanym i tak skutecznym atakiem na ich przywódcę, ale potem podnieśli dzikie wycie i pogнали za uciekinierem. To był ich niewybaczalny błąd. Gdyby chwycili w spokoju swoje strzelby, to nie mógłby ująć ich kulom, ale teraz wprawdzie strzelali ze swej broni, ale w galopie nie mogli dobrze celować, tak więc kule chybiały celu.

Wtedy zobaczyli, że Indianin nagle spadł z konia i wtargnął w krzaki na lewo, podczas gdy koń pobiegl dalej.

– Hurra, za nim! Pomścić *capitano*!

Tak krzyczeli Meksykanie. Oni również zeskoczyli z konia i ruszyli w stronę krzaków za którymi zniknął *cibolero*. Ledwie postawili w nich pierwsze kroki, przed nimi huknął strzał, potem drugi, trzeci oraz czwarty i czterech ludzi leżało martwych na ziemi. Pozostali szybko się wycofali.

– Psiakrew! – zawołał jeden. – Miał tutaj broń!

– Tędy, zanim znowu załaduje! – krzyknął inny.

– Nie, odsuńmy się na bok! – powiedział trzeci. – Ten wąwóz jest stromy i on tylko tędy może wyjść!

Podczas, gdy stali z boku i naradzali się, Indianin miał czas, żeby ponownie załadować broń swoją i Niemca. Wyczolgał się z obiema strzelbami tak daleko, jak mógł, aż osiągnął dobry cel i wtedy wystrzelił. Zanim Meksykanie ponownie się wycofali, znowu stracili czterech swoich. Zatem z ręki jednego odważnego *cibolero* padło już dziewięciu.

Jednak zagrażało im jeszcze inne, równie duże niebezpieczeństwo.

Mianowicie Apacz ze swoimi dziesięcioma *vaqueros* i *ciboleros* powinien już tu być, ale Indianka pomyliła w ciemnościach drogę. W ten sposób pojechali nieco okreźną drogą i dlatego mały oddział przybył dopiero po Alfonzo i jego Meksykanach.

– Tu jest strumień – powiedziała Karja do Niedźwiedziego Serca. – Zaraz będziemy przy jaskini!

Apacz dokładnie rozejrzał się dookoła.

– Ugh! – zawołał i wskazał na widoczne na ziemi ślady.

Jeden *vaquero* zeskoczył z konia i badał ziemię.

– Nie było ich dwóch, lecz wielu – stwierdził.

– Hrabia i jego ludzie – rzucił krótko Niedźwiedzie Serce, znowu ruszając koniem.

Zaraz jednak ponownie zatrzymał się.

– Ugh! – zawołał po raz drugi.

Wskazał przed sobą miejsce, gdzie leżało ciało człowieka. Natychmiast kilku *vaqueros* zeskoczyło z koni, żeby mu się przyjrzeć.

– Hrabia! Hrabia Alfonzo! – zawołali zaskoczeni.

– Ranny? – zapytał Apacz.

– Nie widać żadnej rany.

– Martwy?

– Na to wygląda!

Apacz potrząsnął lekceważąco głową.

– Nie jest martwy, tylko ogłuszony – powiedział. – Związać go!

Byli jeszcze zajęci wiązaniem nieprzytomnego hrabiego, gdy z tyłu padły szybko po sobie cztery strzały.

– Co to jest? – pytali *vaqueros*.

Niedźwiedzie Serce wjechał w krzaki i przyjrzał się terenowi leżącemu po tamtej stronie strumienia.

– Ugh! – zawołał po raz trzeci.

Pozostali szybko znaleźli się przy nim.

– Ach, tu leży trup! – powiedział *vaquero*, wskazując na ciało przywódcy Meksykanów.

– A tam jeszcze kolejne – dodał drugi.

– Osiem! – policzył Apacz. – Zostało jeszcze dziewięciu. Zsiadać!

Wraz z innymi zsiadł z konia i wziął do rąk swoją nigdy nie-
chybiającą strzelbę.

– Wszystkich wystrzelać! – rozkazał.

Razem z *vaqueros* i *ciboleros* było ich jedenastu. Wszyscy przyłożyli broń do ramienia i wycelowali. Jednocześnie padło dziesięć strzałów. Tylko Indianin nie wystrzelił i to rozmyślnie. Z dziewięciu Meksykanów padło siedmiu. Dwóch pozostało nietkniętych i dopiero teraz Niedźwiedzie Serce pozwolił przemówić swojej strzelbie. W ciągu dwóch sekund pozostali dwaj też byli martwi.

Teraz podbiegli wszyscy tam, gdzie leżeli polegli. Jeszcze nie dotarli na miejsce, jak zza krzaków wyszedł wódz Misteków.

– Bizonie Czoło! – zawołali *vaqueros*. – Gdzie jest Grzmiąca Strzała?

– Nie żyje! – odpowiedział.

– Kto go zabił? – zapytał Niedźwiedzie Serce tonem, w którym słyszało się, że los mordercy jest już przesądzony.

– Hrabia Alfonzo!

– Gdzie?

– Tego nie mogę powiedzieć – odparł Bizonie Serce – ale szybko wracajmy! Muszę mieć hrabiego!

– Mamy go! – powiedział po prostu Niedźwiedzie Serce.

– Gdzie?

– Tam w krzakach.

– Jest związany?

– Tak – odparł jeden z *vaqueros*.

Podczas gdy pozostali zabierali broń poległych Meksykanów i się nią dzielili, Bizonie Czoło, Niedźwiedzie Serce i Karja wrócili do miejsca, gdzie leżał Alfonso. Też został już dokładnie przebadany i okazało się, że Apacz miał rację: był tylko ogłuszony, ale nie martwy.

Bizonie Czoło aż do tej pory ani razu nie spojrzal na swoją siostrę, a teraz zwrócił się do Apacza i zapytał:

– Czy mój brat zatroszczy się o to, by nikt nie dotarł do źródła tego strumienia?

– Tak – odpowiedział ten.

– Zatem zaraz wrócę.

Poszedł, żeby znowu dostać się do jaskini. Gdy do niej wszedł, pochodnia już się wypaliła. Wetknął nową i potem poszedł do Niemca. Natychmiast zauważył, że ten leży inaczej niż go zostawił, więc na nowo zaczął go pospiesznie badać. Z niewypowiedzianą radością zauważył, że puls znowu był wyczuwalny. W tym czasie Niemiec musiał na krótko dojść do siebie i się poruszyć, jednak teraz znajdował się w całkowitym letargu. Indianin dźwignął go i wyniósł tak ostrożnie i delikatnie, jak to było możliwe, na świeże powietrze. Gdy położył go tam na trawie, właśnie pojawili się *vaqueros*. Pomimo krótkiego czasu jaki Helmers spędził w hacjendzie, wszyscy bardzo go polubili i teraz głośno oraz szczerze go żalowali. Apacz uderzył dłonią w lufę swojej strzelby i powiedział:

– Jeśli mój biały brat umrze, to biada mordercy! Ptaki lasów mają rozerwać jego ciało. Shosh-in-liett, wódz Apaczów tak powiedział!

– Mój brat będzie go sądził ze mną! – powiedział do niego Bizonie Czoło.

Apacz pochylił się nad Niemcem i zbadal jego głowę.

– To od uderzenia maczugą – stwierdził. – Czaszka jest pęknięta. Trzeba zrobić nosze na dwa konie, by można było go



Apacz pochylił się nad Niemcem i zbadał jego głowę.

dowieźć do hacjendy. Tymczasem ja pójdę poszukać ziela oregano, które leczy każdą ranę i nie pozwala nadejść żadnej gorączce.

Podczas gdy *vaqueros* odeszli, aby zrobić nosze, a Niedźwiedzie Serce szukał ziela na rany, Bizonie Czoło pozostał sam ze swoją siostrą.

– Gniewasz się na mnie? – zapytała cicho.

Nie spojrział na nią, ale odpowiedział:

– Dobry Duch opuścił córkę Misteków!

– Odszedł ode mnie tylko na krótki czas – odparła.

– Ale w tym krótkim czasie stało się wiele złego. Kochałaś hrabiego?

– Tak.

– Wierzyłaś, że on cię także kocha?

– Tak.

– Obiecał ci, że zostaniesz jego żoną?

– Tak.

– I mu uwierzyłaś?

– Tak. Dał mi pismo, w którym mi to obiecał.

– Uff! Masz jeszcze to pismo?

– Leży w moim pokoju.

– Dasz je swojemu bratu?

– Weź je!

– Kochasz go jeszcze?

– Nie. Nienawidzę go.

Alfonzo leżał obok niej. Kopnęła go stopą w twarz.

– Dlaczego już go nie kochasz?

– Oszukał mnie i kocha inną.

– Kogo?

– Emmę, córkę hacjendera.

Opowiadała mu, że Alfonzo wtargnął do pokoju w hacjendzie, a podczas tego sprawozdania jeniec otworzył oczy. Słyszał każde słowo, które zostało wypowiedziane.

– Był psem, który lubił wszystkie kości – rzekł rozgniewany Indianin.

– Wybaczysz mi? – zapytała nieśmiało.

– Wybaczę ci tylko wtedy, gdy będziesz mi posłuszna.

– Będę posłuszna. Co mam zrobić?

– Tego dowiesz się później. Teraz dosiądź konia i jedź do hacjendy, by przysłać tu wszystkich Indian, którzy są dziećmi Misteków. Powiesz im, że wódz Tecalto ich potrzebuje. Zostawia wszystko inne i przybędę.

– Już jadę.

Z tymi słowami dosiadła konia i odjechała.

Wódz widział, że hrabia odzyskał przytomność. Spojrzał na niego pogardliwym wzrokiem i powiedział:

– Błada twarz nie znajdzie żadnej łaski. Jest kłamcą.

– Jakie kłamstwo masz na myśli? – zapytał jeńiec.

– To, że Meksykanie są za tamtym wzgórzem.

– Powiedziałem prawdę, ale oni poszli za mną, bez mojej wiedzy.

– Potem wołałeś o pomoc! Może zyskałbyś łaskę, ale teraz nie!

Odwrócił się dumnie i nie raczył spojrzeć więcej na więźnia. Wkrótce wrócił Niedźwiedzie Serce, położył zmiażdżone zioła na głowie Niemca i obwiązał ją.

Pastuchowie też byli gotowi. Z gałęzi i okryć zabitych Meksykanów zrobili bardzo miękkie i wygodne nosze, które przytwierdzone zostały do dwóch stojących obok siebie koni. Na nich został położony Helmers.

– Co będzie z hrabią? – zapytał jeden z *vaqueros*.

– Jest mój! – odrzekł Bizonie Czoło. – Zabierzcie Grzmiącą Strzałę do hacjendy. Niedźwiedzie Serce zostanie ze mną!

Pochód ruszył. Przez chwilę obaj wodzowie stali w milczeniu obok siebie. Potem Bizonie Czoło poluzował jeńcowi więzy na nogach tak, że ten mógł wstać. Gdy to się stało, przywiązał go

nierozzerwalnym rzemieniem do ogona swojego konia i powiedział do Apacza:

– Niech mój brat podąży za mną!

Obaj dosiedli koni i odjechali. Podążanie za dwoma jeźdźcami było dla hrabiego nie lada wyzwaniem; w rzeczywistości była to najbardziej męcząca droga w jego życiu, jaką przebył.

Bizonie Czoło przejął prowadzenie. Kierował się obok stromo opadającego zbocza góry, a potem wjechał na wzniesienie. Po około godzinie dotarli na płaskowyż pasma górskiego, a teraz wkroczyli w gęstą puszcę. W jej środku, otoczone ze wszystkich stron prawie nieprzebytymi gąszczami, leżały ruiny starej świątyni Azteków. Składała się ona ze ściętej piramidy otoczonej okrągłymi dziedzińcami i wysokim murem. Teraz wszystko leżało w gruzach, tworząc kompletną ruinę.

Na jednym z tych starych dziedzińców utworzyła się głęboka kałuża, w której zbierała się wilgoć z lasu. Tam Indianin poprowadził przyjaciela i więźnia.

Z upływem czasu kałuża zmieniła się w staw, prawie małe jezioro, na którego brzegu wznosiły się wysokie drzewa. Tam obaj wodzowie zsiadli z koni. Misteka usiadł w wysokiej trawie i wskazał Apaczowi miejsce obok siebie. Usiedli na indiański sposób, najpierw przez chwilę milcząc, po czym Bizonie Czoło zapytał:

– Mój brat lubi Niemca, który jest zwany Grzmiącą Strzałą?

– Lubię go! – odparł Apacz krótko.

– Ten biały chciał go zabić.

– Jest jego mordercą, gdyż być może uśmiercił naszego przyjaciela.

– Na co zasługuje morderca?

– Na śmierć.

– Powinien ją otrzymać!

Znowu minęła chwila w posępnym milczeniu, po czym Bizonie Czoło zaczął od nowa:

- Mój brat zna lud Misteków?
- Zna go – przytaknął Niedźwiedzie Serce.
- To był najbogatszy lud w Meksyku.
- Tak, miał skarby, których nikt nie potrafił zmierzyć – przyznał Apacz.
- Czy mój brat wie, gdzie podziały się te skarby?
- Nie wie.
- Czy wódz Apaczów potrafi milczeć?
- Moje usta są jak skalna ściana.
- Zatem powinien wiedzieć, że Bizonie Czolo jest strażnikiem tych skarbów.
- Mój brat Bizonie Czolo powinien spalić te skarby. W złocie mieszka zły duch. Gdyby ziemia była ze złota, Niedźwiedzie Serce wolałby umrzeć niż żyć!
- Mój brat posiada mądrość starych wodzów. Jednak inni kochają złoto. Ten hrabia chciał pojąć skarby Misteków.
- Ugh!
- Przybył z osiemnastoma złodziejami, żeby je ukraść.
- Kto wskazał mu drogę do skarbu?
- Karja, córka Misteków.
- Karja, siostra Bizoniego Czola? Ugh!
- Tak – powiedział ten smutno. – Jej dusza była posepna, gdyż pokochała tego białego oszusta. Obiecał jej, że uczyni ją swoją żoną. Ale on chciał ją opuścić zaraz po tym, jakby zdobył skarb.
- Jest zdrajcą!
- Na co zasługuje zdrajca?
- Na śmierć.
- A na co zasługuje zdrajca, który jest mordercą?
- Na podwójną śmierć.
- Mój brat dobrze powiedział.

Ponownie zapadła chwila milczenia. Ci dwaj wodzowie tworzyli straszny i nieubłagany sąd, od którego wyroku nie było odwołania. Bizonie Czolo sam poradziłby sobie z Alfonzo, ale

wziął ze sobą Apacza, by swoją zemstę oprzeć na sprawiedliwym wyroku. Odbył się jeden z tych tak zwanych sądów preriowych, których tak boją się przestępcy z dzikich pustkowi.

Rozmawiali w narzeczu Apaczów, którego Alfonso nie rozumiał, ale przeczuwał, że teraz rozstrzyga się jego los. Trząsał się ze strachu, ponieważ pomyślał o krokodylach, o których mówił Bizonie Czolo. Był tu staw, a dokładnie w miejscu gdzie siedzieli, daleko nad wodę wystawał krzywo rosnący pień cedru, a jego gałęzie sięgały prawie do jej lustra. Oczy Hiszpana pokrywała mgła, gdy jego spojrzenie tam padało.

Wtedy Bizonie Czolo ponownie zaczął:

– Czy mój brat wie, gdzie może znaleźć taką podwójną śmierć?

– Wódz Misteków może mi to powiedzieć!

– Tam! – odrzekł Tecalto i wskazał na wodę.

Apacz nie spojrzał tam, tylko powiedział, jakby to było oczywiste:

– Tam mieszkają krokodyle?

– Tak. Możesz je zobaczyć.

Podszedł do wody, wyciągnął ramiona i zawołał:

– *Yim-eta* – chodźcie!

Na to zawołanie w wodzie zaszumiało. Dziewięć lub dziesięć bruzd pojawiło się z różnych kierunków i równie tyle krokodyli przypłynęło do nich. Zatrzymały się przy brzegu i wystawiły brzydkie, cuchnące piżmem lby. Były częściowo kajmanami okularowymi⁵⁵, częściowo kajmanami północnoamerykańskimi⁵⁶, a żaden z nich nie miał mniej niż czternaście stóp. Ich cielska przypominały pokryte szlamem pnie drzew,

⁵⁵ *Kajman okularowy* (kajman krokodylowy, *Caiman crocodilus*) – gatunek gada z rodziny aligatorowatych (*Alligatoridae*); występuje w Ameryce Południowej i Środkowej; samce dorastają do 2,5 m długości, czyli ok. 8 stóp.

⁵⁶ *Kajman północnoamerykański* – chodzi tu o aligator amerykańskiego (aligator missisipijski, *Alligator mississippiensis*) – gatunek krokodyla z rodziny aligatorowatych (*Alligatoridae*); zamieszkuje tereny podmokłe w południowo-wschodniej

ich lby ukazywały najbrzydszy i jednocześnie wzbudzający strach widok, jaki można sobie wyobrazić, a kiedy raptownie otwierały i zamykały swoje długie paszcze, żeby pokazać swój głód, widać było całe rzędy straszliwych zębów, które z pewnością nie puszczały niczego, co raz chwyciły.

Nagle rozbrzmiał okrzyk zgrozy. Wydał go Alfonso.

Obaj Indianie rzucili mu pogardliwe spojrzenie. Indianinowi nawet podczas najstraszniejszych mąk nie drży nawet rzęsa. Wypowiadanie skargi przy palu męczarni spowoduje, że nie wejdzie się do Krainy Wiecznych Łowów, która jest Niebem dla czerwonoskórych. Dlatego już dzieci są przyzwyczajane do znoszenia bólu i dlatego biali najczęściej są przez nich wzgardzani, ponieważ mają delikatniejszą konstytucję i są bardziej wrażliwi na wszelkiego rodzaju ból niż Indianie.

– Widzisz je? – powiedział Bizonie Czoło. – To są dzielne zwierzęta, z których żadne nie ma mniej niż dziesięć razy po dziesięć lat. Czy widzisz to łąso, które ze sobą przywiozłem? Odebrałem je Meksykanom, których zastrzeliliśmy.

– Rozumiem mojego brata – powiedział krótko Apacz.

– Jak sądzisz, jak wysoko krokodyl może wyskoczyć z wody?

– Może wystawić pysk najwyżej na cztery stopy ponad wodę, jeśli dno jest głębiej niż jego cielsko.

– A jeśli może dotknąć dna ogonem?

– To wyskoczy jeszcze drugie tyle.

– Dobrze. Tu woda jest głęboka. Stopy tego człowieka powinny zatem wisieć cztery stopy powyżej wody. Kto ma wejść na drzewo? Ty czy ja?

– Ja to zrobię – rzekł Apacz.

Obaj podnieśli się miejsc i podeszli do Alfonsa. Związali mu ręce na plecach i dwukrotnie przeciągnęli mu łąso pod

części Stanów Zjednoczonych oraz Meksyku; samce dorastają do 3,7 m (ok. 12 stóp).

ramionami. To uczyniło łąasso tak mocnym, że można było je nazwać „nie do zdarcia”. Do niego przywiązali dwa inne łąassa, których końce Apacz wziął w swoje ręce i zaczął się wspinać na drzewo.

Teraz wreszcie hrabia zdał sobie sprawę, że mówili poważnie. Pot strachu spływał mu z czoła wielkimi kroplami, a w uszach huczalo mu jak przy sztormowym wietrze.

– Łaski, łaski! – prosił, lamentując.

Obaj mściciele nie słuchali go.

– Łaski! – powtórzył. – Zrobię wszystko, co chcecie, tylko nie wieszajcie mnie nad tymi krokodyłami!

Również w tym przypadku nie padło żadne słowo. Bizonie Czoło chwycił go i przyciągnął do drzewa.

– Nie róbcie tego, nie róbcie! Dam wam wszystko, moje hrabiostwo, mój majątek, całą Rodrigandę. Zrzeknę się wszystkiego, co mam, tylko darujcie mi życie!

Dopiero teraz odpowiedział mu wódz Misteków.

– Czym jest Rodriganda? – zapytał. – Czym jest twoje hrabiostwo i czym są twoje posiadłości! Widziałeś skarby Misteków, którymi pogardzam i ofiarujesz mi swoją nędzę! Pozostań hrabią i umieraj! Spójrz na te zwierzęta, które jeszcze nigdy nie jadły białego hrabiego. Będziesz wisiał cztery lub pięć dni na drzewie i będziesz swoje stopy podciągał z górę, gdy będą po nie sięgać. Kiedy staniesz się słaby i zmęczony, to ci je oderwą. Potem będziesz się wykrwawiał i umierał. A gdy następnie twoje ciało przegnije, to spadnie i zostanie przez nie pożarte. Taki będzie koniec białego hrabiego, który chciał oszukać wzgardzoną Indiankę.

– Łaski, łaski! – błagał ponownie w najwyższym przedśmiertnym strachu.

– Łaski? Czy miałeś litość, gdy zabijałeś przyjaciela wodzów maczugą? Czy miałeś litość, gdy oddałeś mnie w ręce

Meksykanów? Czy miałeś litość, gdy zabijałeś serce w piersi Indianki? Czy to były tylko jedyne twoje złe czyny? Wahkonta nie pozwala, żeby człowiek wszystko wiedział. Nie znam twojego życia, ale kto czyni takie zło jak ty, już wcześniej zrobił wiele złego. Pomścimy tamto jednocześnie z tym, co nam zrobiłeś. Zeżrą cię krokodyle, ale ty jesteś gorszy niż jakiegokolwiek z tych zwierząt. Wahkonta stworzył je, żeby jadły mięso, ale człowieka stworzył, żeby był dobry. Twoja dusza jest gorsza niż ich!

Przesunął go bliżej wody. Alfonzo bronił się jak tylko potrafił. Miał uwolnione nogi i oparł się mocno na ziemi z rozpaczliwym wysiłkiem. Wtedy Misteka oplótł rzemień mu wokół stóp i razem związał tak, że stał się całkowicie bezbronny.

– Łaski! Litości! – jęczał i skomlał.

Nic mu to nie pomogło. Ogromnie silny wódz zaniósł go pod drzewo, a Apacz wspinał się na nie z lassem w zębach. Gdy dotarł na górę, usiadł porządnie i spuścił dziesięciokrotnie spleciony rzemień, który przeciągnął przez mocny konar. Teraz podciągnął hrabiego za lasso na pniu. Bizonie Czoło popychał go od dołu. Szło powoli, ale pewnie.

– Och, puśćcie mnie, puśćcie mnie! – wołał skazany na tak straszną śmierć. – Chcę wam służyć i słuchać jak najpodlejszy z waszych pacholków!

– Hrabia ma pacholków, wolny Indianin nie! – Brzmiała odpowiedź.

Widok aligatorów był teraz przerażający. Staw był dla nich zbyt mały, nie znajdowały dla siebie żadnego pożywienia. Głodowały od lat, a teraz zobaczyły, że mają dostać posiłek. Z braku pożywienia zjadały już siebie nawzajem. Jednemu brakowało łapy a innemu jakiejś części jego cielska. Stłoczyły się teraz dokładnie pod drzewem w jedną szkaradną bryłę. Ich straszliwe ogony uderzeniami spieniały wodę. Ich małe, złośliwe ślepie rzucały jadowite, pożądliwe spojrzenia, a ich otwarte

szczęki zatrząskiwały się z dźwiękiem, który brzmiał dokładnie tak jakby ktoś uderzał o siebie dwoma mocnymi deskami. Te dziesięć potworów tworzyło jeden kłęb, który można było wziąć za okropnego smoka z dziesięcioma paszczami i tyłomaż ogonami.

Więzień widział to i trząśł się.

– Puśćcie mnie, potwory! – ryczał.

– Niech mój brat pociągnie mocniej!

To polecenie dla Apacza był jedyną odpowiedzią Bizoniego Czola.

– Więc bądźcie przeklęci i potępieni na całą wieczność!

Słowa te wykrztusił z siebie hrabia, daremnie szukając ratunku swoimi przekrwionymi oczami.

– Wystarczy – powiedział Misteka, który oczami znawcy ocenił odległość gałęzi od wody z obecną długością lasa. – Niech mój brat oplecie laso wokół pnia drzewa i zawiąże porządny węzeł!

Apacz wykonał to polecenie. Bizonie Czolo trzymał się teraz jedną ręką drzewa, podczas gdy drugą obejmował więźnia. Wymagało to olbrzymiej siły fizycznej. Gdyby cedr nie był tak silny, to musiałby przy swojej całej pochyłości złamać się pod ciężarem trzech mężczyzn. Teraz nadeszła decydująca chwila. Alfonso widział i czuł to, więc krzyknął prawie nie ludzkim głosem:

– Nie jesteście ludźmi, jesteście diabłami!

– Jesteśmy ludźmi, którzy osądzają diabła – odpowiedział Misteka. – Jazda!

Rozbrzmiał okropny, daleko rozchodzący się krzyk. Indianin puścił Alfonsa i ponadto mocno go popchnął. To pchnięcie odrzuciło jeńca od drzewa i zawiesiło nad wodą. Bujął się na lassie tam i z powrotem i za każdym razem, gdy ruchem wahałowym zbliżał się do wody, krokodyle wyskakiwały w górę, by go dopaść.



– Puśćcie mnie, potwory! – ryczał.

– W porządku. Mój brat może zejść!

Apacz wykonał to polecenie Bizoniego Czoła i zszedł z nim z drzewa. Stanęli nad brzegiem i obserwowali makabryczne widowisko do czasu, aż bujanie stawało się coraz wolniejsze i wreszcie skazaniec zwiślał prosto z gałęzi.

Teraz okazało się, że Misteka musiał mieć bardzo dobrą miarę w oku. Alfonso wisiał tak, że krokodyle szybko wyskakujące z wody mogły jeszcze dosięgnąć jego stóp. Przez to był zmuszony podciągać je natychmiast w górę, gdy tylko jedno ze zwierząt się na nie rzuciło. Jeśli na takie ruchy zabraknie mu siły, będzie zgubiony. Bardzo zgrzeszył, ale ta śmierć i śmiertelny strach przed nią wyrównywały wiele, może wszystkie jego grzechy.

– Doskonale. Możemy iść – powiedział Apacz, który sam lekko drżał.

– Idę za moim przyjacielem – przytaknął Bizonie Czoło.

Wsiedli na konie i odjechali, długo jeszcze prześladowani wyciem przerażonego hrabiego.

Mogli teraz jechać szybciej niż pod górę, kiedy więzień przywiązany był do końskiego ogona. Gdy dojechali nad strumień, zastali tam już wielu Indian. Wszyscy należeli do skazanego na zagładę plemienia Misteków i zostali tu przysłani przez Karję. Ich wódz zwrócił się do Apacza:

– Dziękuję mojemu bratu, że pomógł mi osądzić i ukarać błądą twarz. Może teraz wrócić do hacjendy i doglądać ran Grzmiącej Strzały. Ja przyjadę dopiero jutro, ponieważ mam tu jeszcze wiele do zrobienia.

Niedźwiedzie Serce natychmiast odjechał. Misteka przywołał do siebie Indian, którzy utworzyli wokół niego krąg, by usłyszeć polecenia. Tecalto rozejrzał się wokół poważnie i zaczął:

– Jesteśmy synami plemienia, który musi wymrzeć. Błede twarze przynoszą nam śmierć. Nastawali na nasz skarb, ale go nie dostali. Wasi ojcowie pomogli mojemu ukryć te bogactwa,

i żaden z nich nie zdradził miejsca, w którym się ono znajduje. Czy wy również będziecie milczeć?

Wszyscy skłonili na potwierdzenie głowy, a najstarszy z nich odpowiedział w imieniu wszystkich:

– Przekłęte te usta, które chciałyby zdradzić białym to miejsce!

– Wierzę wam. Wiedziałem, gdzie znajdują się skarby, ale jedna blada twarz je odkryła. Ta blada twarz znalazła jego część i ta część musi teraz zostać ukryta w innym miejscu. Czy zechcecie mi pomóc?

– Pomożemy.

– Zatem czy przysięgacie na dusze waszych ojców, waszych braci i dzieci, że nie zdradzicie nowej kryjówki i również nigdy nie będziecie chcieli naruszyć najmniejszej części skarbu?

– Przysięgamy! – rozbrzmiało w kręgu.

– Zatem zadbajcie najpierw o wasze konie, a potem chodźcie!

Po tym jak koniom zapewniono należyty popas, czerwone postacie zniknęły w wejściu do jaskini, w której teraz zaczął się potajemny ruch i gonitwa. Tylko jeden pozostał na świeżym powietrzu, by czuwać nad bezpieczeństwem koni i towarzyszy.

Praca ta trwała całą noc, a zanim nadszedł dzień, Mistekowie jeden za drugim wypelzali z jaskini. Każdy z nich prznosił ciężar, który cały złożony został na jedną stertę. Były to ogromne *nuggety* i kawalki złota obok klejnotów, które wybrał sobie Helmers.

– Dobrze! – powiedział Bizonie Czoło, patrząc na stos. – Zawinście to w derkę i załadujcie na konia. To jest podarek Misteków dla jedyne go białego, który widział skarby królów, ponieważ mu na to pozwoliłem. Niech stanie się dzięki temu szczęśliwy!

Gdy koń juczny, który wczoraj wcześniej przyprowadzony był z Niemcem, został załadowany, wrócił jeszcze raz do wnętrza jaskini. Pierwsza jej część, którą zobaczyli Helmers i Alfonzo, była teraz kompletnie pusta i wysprzątana. Bizonie Czoło rozejrzał się jeszcze raz, potem podszedł do rogu, gdzie wystawał z ziemi lont. Podpalił go swoją pochodnią i natychmiast opuścił jaskinię.

Na zewnątrz wszyscy odeszli daleko i czekali. Minęło kilka minut, po czym dał się słyszeć głuchy huk. Ziemia zadrżała, ciemny dym wydobył się z przedniej strony góry. Skały pękły, ziemia powoli się osuwała, a potem runęła z toczącym się loskotem. Wejście do jaskini i jej przednia część zostały zasypane. Strumień piecił się nad zwaliskami, najpierw dziko z nimi walcząc, ale wkrótce utorował sobie drogę do swojego pierwotnego łóżyska. Dojście do skarbów królów Misteków zostało zamknięte.

– Złączcie ręce i przysięgnijcie raz jeszcze, że będziecie milczeć aż do śmierci! – polecił Bizonie Czolo swoim ludziom.

Złożyli przysięgę, a po każdym jednym było widać, że prędzej umrze niż ją złamie. Rzucili jeszcze ostatnie spojrzenie na miejsce, które przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny widziało tak niezwykle widowisko, po czym odjechali.

W tym czasie poważny i pochmurny Apacz jechał z powrotem do hacjendy.

W jego umyśle przewijały się wszystkie wydarzenia, jakie w ostatnich dniach przytrafiły się jemu i jego przyjaciółom.

W szczególności martwił go los Grzmiącej Strzały, w którego wyzdrowienie wątpił.

Słońce weszło już wysoko nad meksykańską ziemią i spuszczało swoje gorące i palące promienie na zwierzęta i ludzi.

Apacz nie czuł gorąca, bo jego umysł był zbyt zajęty, prawie jakby pozbawiony sensu i nie reagujący na to, co go otacza, jechał dalej.

Jego koń, który dobrze znał drogę, niósł bez kierowania nim jeźdźca do hacjendy, gdzie znajdował się już Grzmiąca Strzała.



CHCESZ PRZECZYTAĆ
DALSZĄ CZĘŚĆ?

Leśna Różyczka

Zapraszamy do księgarni!

JASKINIA Z KRÓLEWSKIM
SKARBEM



Kolekcja

Leśna Różyczka

CZEŚĆ I – CÓRKA GRANDA

- Tom 1: Walka o miłość
- Tom 2: Uratowana miłość
- Tom 3: Jaskinia z królewskim skarbem

CZEŚĆ II – W POSZUKIWANIU ZEMSTY

- Tom 1: Wyprawa mścicieli
- Tom 2: Wyleczenie

CZEŚĆ III – ZWYCIĘSTWO MŚCICIELI

- Tom 1: Porucznik gwardii
- Tom 2: Maksymilian, cesarz Meksyku 1
- Tom 3: Maksymilian, cesarz Meksyku 2
- Tom 4: Maksymilian, cesarz Meksyku 3
- Tom 5: Tajemne posłannictwo
- Tom 6: Zakończenie

Leśna Różyczka to powieść o niespotykanym, gigantycznym wręcz rozmachu. Autor często przenosi akcję na różne kontynenty, stosuje zabieg czasowych skoków akcji. W powieści roi się od postaci historycznych, m.in.: cesarz Maksymilian, książe Bismarck, cesarz Wilhelm I. Jednym z głównych bohaterów jest doktor Sternau – pierwowzór późniejszego Old Shatterhanda (alter ego samego pisarza). Jego przygody to zapowiedź późniejszych, najlepszych dzieł autora *Winnetou*. *Leśna Różyczka* pokazała również dużą sprawność Maya w poruszaniu się w tematyce Dzikiego Zachodu i bliskowschodnich przestrzeni Orientu.

Niniejsza kolekcja jest zatem pierwszym polskim wydaniem *Das Waldröschen*, pozbawionym jakichkolwiek zmian i skrótów. Tekst oparty został na pierwszym niemieckim wydaniu. Ilustracje anonimowego twórcy pochodzą z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. MÜNCHMEYER, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.).

Wszystkich, którzy pragną przeżyć dziesiątki niesamowitych, wciągających i mrozących krew w żyłach przygód, serdecznie zapraszam do przeczytania *Leśnej Różyczki* Karola Maya, niezapomnianego klasyka powieści przygodowej.

Wydawnictwo JAMAKASZ | Ruś Śląska 2023
www.jamakaszy.pl

ISBN 978-83-66980-01-3 (całość)

ISBN 978-83-66980-92-1 (tom trzeci)